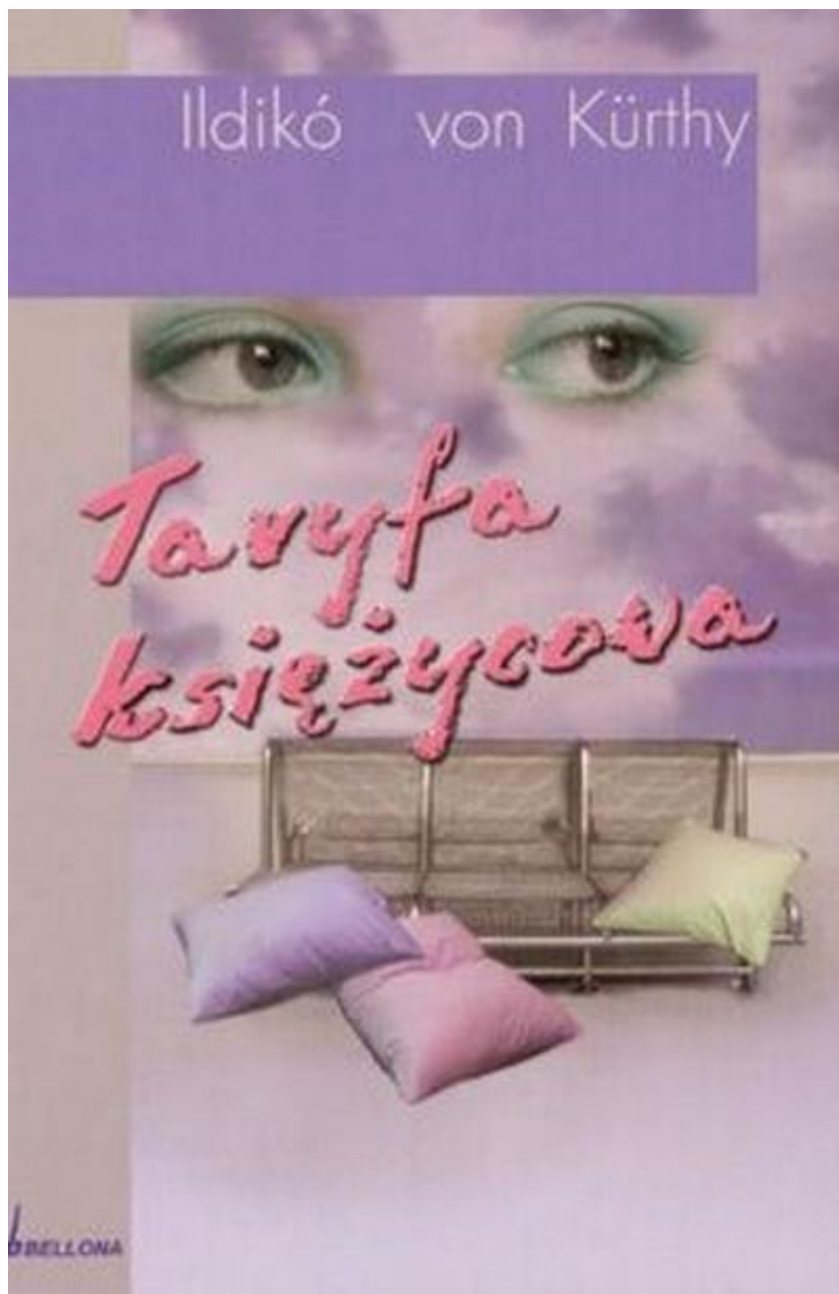




ILDIKÓ VON KÜRTHY

TARYFA KSIĘŻYCOWA

Przełożył RYSZARD TURCZYN



*Happy Birthday, ciociu Hildo!*

TLR

**17:12:**

Stopa to zdecydowanie zbyt mało zbadana strefa problemowa ciała kobiety. Zdanie jak wykute z marmuru.

***Stopa to zdecydowanie zbyt mało zbadana strefa problemowa ciała kobiety.***

Tak właśnie mógłby się zaczynać artykuł w jakimś piśmie dla kobiet. Albo w „Psychologii dzisiaj”. Albo jeszcze gdzie indziej.

Nazywam się Cora Hübsch, mam trzydzieści trzy i trzy czwarte roku i należę do tej zdecydowanej większości kobiet, które nawet w zaawansowanym wieku nie zdołały jeszcze zaprzyjaźnić się ze swoimi stopami. Moje palce u nóg są pokrzywione jak zęby nastolatka, który uparczywie odmawia noszenia aparatu. W mojej grupie fitnessowej jest jedna babeczka, która ma palce nóg tak krótkie, jakby dostała się w młodości pod gilotynę. A moja psiapsiółka Johanna z kolei ma stopy takie, jak inni uda. W jej butach mógłby się uratować niejeden pasażer drugiej klasy z Titanica.

Robię wszystko, żeby się czymś zająć. Gapię się z uporem na rządki palców na drugim końcu mojego ciała, żeby nie myśleć o czymś znacznie gorszym.

Na przykład o tym, że dzisiaj sobota. Co gorsza, jest już prawie sobota wieczór. Swoją drogą ciekawe, kiedy zaczyna się wieczór? Załóżmy, że ktoś mówi: „Zadzwoń do ciebie w sobotę wieczorem”. Co to wtedy oznacza? Czy: „Zadzwoń do ciebie około 18.00, żeby cię zapytać, czy mogę po ciebie przyjść o 20.30 i zabrać cię do najdroższej włoskiej restauracji w mieście”?

Czy może raczej: „Okolo 23.00 puszczę ci tylko sygnał, żeby sprawdzić, czy jesteś osamotnioną trzydziestką, która w sobotę wieczorem nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko czekać na telefon takiego przystojniaka, jak ja, który z braku czegoś lepszego skusił się na pójście z tobą do łóżka”?

*Stopa to zdecydowanie zbyt mało zbadana strefa problemowa ciała kobiety.*

Nie, to na nic. Pokrzywiona gromadka u moich stóp nie może już dłużej zbierać cięgów za mój kompleks niższości.

Słuchajcie, dziewczyny, powiedzmy sobie szczerze: Naj- naj- najpoważniejsza strefa problemowa kobiety nazywa się: facet.

**17:17**

Czy to naprawdę zaraz będzie wpół do szóstej? Kurcze, czemu on nie dzwoni? Dlaczego są rzeczy w życiu kobiety, które się nigdy nie zmieniają? Pytanie, czy po jednorazowym seksie można od razu rościć sobie pretensje

do spotkania w najbliższą sobotę, nigdy dotąd nie zostało dostatecznie wyjaśnione.

Ktoś powinien sobie kiedyś zadać trud i policzyć, ile lat życia kobieta spędza na czekaniu na telefony od facetów. Pewnie z pięć. Albo z dziesięć. I jest coraz starsza. Marszczy czoło, a od tego zostaje brzydka krecha między brwiami. Zjada dziesiątki ton białej czekolady crisp, batoników orzechowych i tostów z nutellą. Rujnuje sobie figurę i zęby, a tym samym traci jakąkolwiek realną szansę na telefon w sobotę wieczór.

Muszę skończyć z podkopywaniem poczucia własnej wartości negatywnymi myślami.

„Jestem atrakcyjna. Jestem kobietą godną pożądania. Jestem piękna. Jestem kobietą godną pożądania. Jestem...

Telefon!

No proszę, jednak dobry sposób.

**17:22**

To tylko Johanna, która chciała się dowiedzieć, czy już dzwonił. Johanna twierdzi, że zasadnicza różnica między kobietami a mężczyznami nie polega na tym, jak się powszechnie uważa, że mężczyźni utrzymują w czystości wnętrze swojego samochodu i uważają wszystkie części *Szklanej pułapki* za osiągnięcie kulturalne. Joanna twierdzi, że zasadnicza różnica

między kobietami a mężczyznami polega na tym, że mężczyźni nie czekają na telefony od kobiet. Zamiast czekać, mężczyźni coś robią. Oglądają wiadomości sportowe, wynajdują lek przeciwko AIDS, umawiają się z jakąś blondynką, czytają kursy giełdowe, ćwiczą mięśnie. I inne takie. A najważniejsze w tym wszystkim jest to, że oni wcale nie robią tego po to, żeby odwrócić swoją uwagę od czekania. Oni to robią dlatego, że tak chcą.

Zapominają przy okazji, że właściwie czekają. Dlatego mężczyźni nigdy nie podnoszą po pierwszym sygnale i mają taki głos, jakby się im w czymś przeszkodziło.

Musiałam się chwilę zastanowić, żeby zrozumieć, co to oznacza.

- Słuchaj - powiedziałam wreszcie, i czułam się tak, jakby po trwającej dziesiątki lat ślepotcie ktoś wreszcie otworzył mi oczy - to przecież znaczy, że wszystkie te godziny, które spędziłyśmy na tym, żeby nie zadzwonić do faceta, poszły na marne. Te wszystkie dni, w czasie których zajmujemy się nadmierną konsumpcją batoników czekoladowych i oglądaniem filmów z Meg Ryan, żeby udawało się nam powstrzymać przez zobaczeniem się z nim zaraz następnego dnia. Wszystko psu na budę! Ileż się nacierpiałymy, żeby ich podreczyć! Myślałyśmy, że oni będą czekać, a tak naprawdę ich może w ogóle nie było w domu i nawet nie zauważyli, że nie dzwoniłyśmy?

- Trafiłaś w sedno, Cora. Nie da się zmusić faceta do czekania. Jeśli chcesz znać moje zdanie, to już najwyższy czas, żebyś spędziła czas na czymś sensowniej szym niż nadzieja, że pan Hofmann łaskawie zechce wybrać twój numer.

Mogłabym:

- a. wypełnić zeznanie podatkowe
- b. wypełnić zeznanie podatkowe sprzed dwóch lat
- c. wykorzystać ten przepiękny letni wieczór na zdjęcie z balkonu choinki i wyniesieniu jej do pobliskiego parku.

Przemyślę to sobie na spokojnie przy kieliszku białego wina.

Doktora medycyny, Daniela Hofmanna poznałam, w upokarzających warunkach, trzy tygodnie i trzy dni temu, pod wahadłowymi drzwiami pewnej damskiej toalety.

Byłam z Johanną na jednej z tych imprez, o których następnego dnia pełno we wszystkich plotkarskich programach i wszystkich prywatnych stacjach telewizyjnych. Jo zrobiła się wystarczająco ważna, żeby dostawać zaproszenia na takie spędy i to w dodatku z prawem zabrania ze sobą dodatkowej osoby.

„Pani Johanna Dagelsi z osobą towarzyszącą”, jest wówczas napisane na listach, które odhaczają przy wejściu smukłe dziewczyny w granatowych kostiumach.

„Osoba towarzysząca” to ja. Raz się nawet zdarzyło, że Johanna przedstawiła mnie komuś słowami, „pani Cora - osoba towarzysząca”.

Uznała, że to zabawne i przez cały wieczór wybuchała histerycznym chichotem. No cóż... Tym „kimś” był, jak przeczytałam następnego dnia w plotkarskiej rubryce gazety o VIP-ach, sam gospodarz przyjęcia.

Ale ja jestem ponad to. Nie považam ludzi, którzy swoją osobę myślą z piastowaną funkcją. Bo nie należę do ludzi, którzy poczucie własnej wartości uzależniają od zajmowanego stanowiska. Ale może to dlatego, że akurat nie zajmuję jakiegoś specjalnie wysokiego stanowiska. No tak, w zasadzie gadam jak ktoś, kto obwieszcza heroicznie, że utrzymuje ścisłą dietę, a zapomina dodać, że i tak ma puchy w lodowce.

Jeśli ktoś mnie pyta, zawsze mówię, że jestem fotografem. Bo to prawda. Mam nawet stały angaż - a to ma naprawdę niewielu fotografów. Niestety, u mojego obecnego pracodawcy, nie do końca mogę wykorzystać mój twórczy talent. Fotografuję szafy w ścianach i komplety wypoczynkowe na potrzeby katalogu wiodącego domu meblowego w tym kraju. No i co, ktoś przecież musi to robić, no nie? Ale dlaczego akurat ja? Wszystko jedno, nie muszę mieć od razu przed obiektywem Heidi Klum, żeby czuć że żyję. Mnie tam wystarczy stolik pod telewizor i wideo ze zintegrowanym barkiem.

W każdym razie razem z Jo odstawiłyśmy się jak nigdy. Całe popołudnie spędziłyśmy na wyciąganiu drogich ciuchów z szafy Jo i obnoszeniu się w nich po jej kilometrowym korytarzu, jak po wybiegu. Przy okazji obaliłyśmy butelkę szampana do wtóru Donny Summer nastawionej na powtarzanie w nieskończoność.



*I'm looking for some hot stuff, baby, this ev'ning, I need some hot stuff, baby, tonight.*

Najpiękniejsze w wyjściu są przygotowania. Taka właściwa nastolatkom, głupawa radocha.

Próbowanie kolczyków.

Cienie, skrzące się nad oczami jak cekiny.

Jedno pociągnięcie ciemnoczerwoną szminką.

Wciskanie się w sukienki tak krótkie, że każdy facet myśli, że za noc ze mną trzeba zapłacić.

Gaszenie papierosów w umywalce w czasie robienia makijażu.

Wspaniałe!

Chciałabym, żeby tak było zawsze. Nawet jeśli za dwadzieścia lat napis na szmince nie będzie głosił *Rouge pour les levres* tylko „korektor do pomarszczonych, starych warg”, a my zamiast zwiewnych jedwabi będziemy nosiły rajstopy podtrzymujące. Wszystko jedno. Radocha i już.

Kiedy tuż przed ósmą wsiadłyśmy z Jo do taksówki, czułyśmy się jak czternastki - i tak też się zachowywałyśmy. Jo opowiadała taksjarsowi słone dowcipy, podczas gdy ja na tylnym siedzeniu zamalowywałam czarnym tuszem przetarte miejsce w moim metrowej wysokości obcasie. Wyglądałam po prostu bosko. Jo pożyczyła mi swoją granatową obcisłą sukienkę, która w genialny sposób tuszowała moje niedostatki, podkreślając mocne strony.

Niestety zawsze jest tak, że z przodu wyglądam prawie tak samo jak z tyłu.

To znaczy mam dość jędrną, okrągłą pupkę - i nieco mniej jędrny, ale równie okrągły brzusek.

O piersiach lepiej nie mówić, są bardzo szeroko rozstawione. Jeśli patrzę na jedną, to drugą tracę z oczu. Ale - niech będą dzięki firmie Wonderbra - kiedy tego wieczoru spjrzałam w dół na swój dekolt, ujrzałam głęboką, obiecującą szczelinę. Ach, jakież ma miałam dobry nastrój i jaka byłam napalona.

*I need some hot stuff, baby, tonight!*

Kiedy razem z Jo płynęłyśmy nad czerwonym dywanem w stronę wejścia, czułam na sobie pełne uznania spojrzenia wszystkich mężczyzn będących w najbliższym otoczeniu. Uśmiechałam się łagodnie i nieprzystępnie.

Przestałam się uśmiechać, kiedy się zorientowałam, że za mną idzie aktorka Veronica Ferres. Nigdy nie rozumiałam, co ci faceci w niej widzą. Wygląda jak przygnębiony pączek, a jej aktorskie umiejętności zdecydowanie się przecenia. Jo poleciła mi, że nie wolno dać sobie popsuć nastroju. I posłuchałam.

To była wspaniała impreza - pomijając pierwsze śmiertelnie nudne trzy godziny, kiedy rozdawano nagrody. Na początku byłam jeszcze strasznie podekscytowana, denerwowałam się każdym nowym ogłoszeniem zdo-

bywcy czy zdobywczynie pierwszego miejsca, dzielnie łykając łzy przy kolejnych słowach podziękowania. Stopniowo jednak ekscytacja słabła i na koniec nie mogłam już słuchać tych bzdur.

- W czasie transmisji telewizyjnej robią z tego 45 minut - szepnęła mi do ucha Jo, podczas gdy jakiś dokumentalista z miasta Halle dziękował swojej ekipie, „bez której wspaniałej zespołowej pracy ten film w ogóle by nie powstał blablabla, więc ta nagroda w zasadzie nie mnie się należy blablablabla”.

- No to następnym razem obejrzymy sobie ten cyrk w telewizorze - odpowiedziałam również szeptem. Był to oczywiście szczyt niewdzięczności, wiem, bo w końcu funkcjonowałam tylko jako „os. towarzysząca” - ale byłam głodna i odbijało mi się od szampana pitego na pusty żołądek.

- Mogę pójść do toalety, czy od razu znajdę się w telewizji? - spytałam Jo.

- Idź, idź. To i tak się chyba zaraz kończy.

Podreptałam na obcasach wąskim korytarzem w kierunku wyjścia, odprowadzana karcącymi spojrzeniami Tila Schweigera, Senty Berger i Mario Adorfa, przy czym ten ostatni spoglądał raczej tęsknie. Może biedaczkowi też się chciało do kibelka, ale musiał czekać aż mu wręczą nagrodę? We wspaniale udekorowanym hallu (Świecące girlandy! Uwielbiam świecące girlandy!) od razu wrócił mi dobry nastrój.

Zobaczyłam bowiem co najmniej dwadzieścia trzy tysiące kelnerów zajętych rozstawianiem bufetu. I to jakiego bufetu! Homary! Langusty! Carpaccio z łososia! Vitello Tonnato! Pieczenie wołowe wielkości mojego uda! Sałatki owocowe! Mousse au Chocolat!

Ślinka mi ciekła, kiedy tak przeciskałam się wzdłuż uginających się od jedzenia stołów w stronę damskiego kibelka. Pchnęłam wahadłowe drzwi i znalazłam się w nieprawdopodobnej, pałacowej siusialni. Wszędzie dokoła lustra, marmury. Przy porcelanowych umywalkach nie wisiała jakaś tam niebezpieczna dmuchawa na gorące powietrze, od której można sobie oparzyć ręce, zamiast je wysuszyć, tak że pierwsza osoba, której podajemy rękę i tak myśli sobie, że pobrudzimy ją ekskrementami. Tutaj leżały ładnie ułożone, jedno na drugim, świeżutkie, bielutkie, frotowe ręczniczki.

A obok tych białych stosików siedziała sobie na małym taboreciku pomarszczona babcia klozetowa i patrzyła na mnie wyczekująco.

O, tego nie lubię. Mam problemy z oddawaniem moczu, kiedy czuję, że ktoś może mnie przy tym usłyszeć. Zawsze pozostanie dla mnie zagadką, jak to możliwe, że faceci leją stojąc jeden obok drugiego. Jak oni to robią? Czy przy tym rozmawiają? O czym? A jak to jest, kiedy sika obok ciebie szef? Zatrzymanie moczu? Czy rozmowa o podwyżce?

Raz spotkałam szefa redakcji graficznej w saunie. Ależ to było dla mnie niezręczne! W dodatku siedział obok mnie i mocno załatywało od niego potem.

- Jestem zdania, że ludzie na pewnych stanowiskach nie powinni chodzić do publicznej sauny - powiedziałam wtedy. To nie było za mądre, wiem. Ale prawda to pierwsze, co człowiekowi przychodzi do głowy, jak nie wie, co powiedzieć.

W każdym razie filigranowa babcia klozetowa patrzyła na mnie przyjaźnie, a mój pęcherz od razu oczywiście zastrajkował, więc udałam, że weszłam tylko umyć ręce.

- Wpadłam tylko umyć ręce - powiedziałam uprzejmie. - Tam jest tak gorąco, mówię pani.

Babcia skinęła głową dobrotliwie. A ponieważ byłam cała szczęśliwa, że wreszcie spotkałam w tym prominenckim domu wariatów jakiegoś normalnego człowieka, i ponieważ w ogóle mam słabość do przedstawicieli klasy robotniczej (przespałam się kiedyś z jednym elektrykiem), pogadałyśmy sobie jeszcze przez chwilę.

Dowiedziałam się paru ciekawych rzeczy na temat łazienkowych zwyczajów pań i panów. Co zdumiewające, panie są podobno o wiele mniej higieniczne, a za to bardziej manieryczne od panów. Kiedy na przykład zwymiotują, to zachowują się tak, jakby wszystkiemu winna była babcia klozetowa i w związku z tym źle się do niej odnoszą. Dla facetów natomiast ubikacja jest miejscem, gdzie się odprężają. Tutaj mogą być sobą. Dają sobie napiwki i dopiero tuż przed wyjściem przybierają z powrotem minę „jaki to jestem ważny”.

W pewnym momencie przeleciało mi przez głowę, że zostawiłam torebkę przy stoliku, w związku z czym nie mam drobnych. O, kurcze! Jak ja stąd teraz wyjdę? Pewnie źle sobie o mnie pomyśli: „Najpierw udaje, że niby taka miła, a potem sobie idzie, jak gdyby nigdy nic”.

Z tej rozpaczy gadałam dalej.

- Próbowała już pani czegoś z bufetu? - spytałam. - Przypuszczam, że pracownicy dostają coś do jedzenia w czasie rozdania nagród?

- Ale gdzie tam - powiedziała babcia klozetowa. - Przyniosłam sobie parę kanapek. Z bufetu nam nie wolno.

Że co? Że jak? To kobitka siedzi tutaj cały dzień na stołeczku w marmurowym pisuarze, wyciera po prominentach i nikt nie pomyślał, żeby poczęstować ją chociaż głupimi szczypcami od homara?

Moje poczucie sprawiedliwości społecznej nie dawało mi spokoju. Co by na to powiedział Marks? Nie mam pojęcia, nigdy nie czytałam Marksa, ale dostatecznie dużo o nim słyszałam, żeby wiedzieć, że wyrwałby sobie po jednym wszystkie włosy ze swojej siwej brody.

- Wie pani co? - wykrzyknęłam wojowniczo. - Zaraz pani stamtąd przyniosę coś do jedzenia. Co by pani chciała? Homara? Vitello Tonnato? Carpaccio?

Babcia klozetowa popatrzyła na mnie zdezorientowana.

- No to może wszystkiego po trochu?

Wypadłam z toalety. Ja, bojowniczką o prawa uciskanych, wybawicielką uciśnionych. Joanna d'Arc babć klozetowych! Precz z kapitalizmem! Naród to my!

Uroczystość rozdania nagród dobiegła właśnie końca i pierwsi kapitałści tłumnie zmierzali w stronę bufetu. Ja jednak byłam szybsza.

Złapałam wielki talerz i z szybkością błyskawicy ponakładałam na niego wszystko, co najlepsze. Jestem wprawdzie jedynaczką, ale mój ojciec zawsze miał wilczy apetyt, więc dość wcześnie się nauczyłam, na czym polega walka o przetrwanie i jak to zrobić, żeby w ułamku sekundy rozpoznać i przygwoździć widelcem największy kawałek pieczeni. Na samym wierzchu góry jedzenia umieściłam - jako symboliczny pomnik dekadencji klasy panującej - imponującego homara.

Drogi - ale martwy.

Zręcznie balansowałam zapelnionym po brzegi talerzem w gęstniejącym tłumie ciemnych smokingów i wspaniałych kreacji. Sterowałam w stronę wahadłowych drzwi w końcu hallu. Nie widziałam, jak Uschi Glas wymienia szeptem uwagi z Iris Berbel, nie widziałam, jak Mario Adorf z ulgą znika w toalecie dla panów. Przed oczami miałam tylko wahadłowe drzwi z napisem „Dla Pań” a za nimi, już oczami wyobraźni, babcię klozetową z kanapkami w torbie.

Dwa metry przed drzwiami damskiej toalety zmieniło się moje życie.

Kątem oka dostrzegłam ciemny garnitur wyodrębniający się z ludzkiej masy. Przynależący do niego mężczyzna wykonał dwa, trzy kroki do tyłu i odwrócił się zamasyście.

Potem zobaczyłam frunącego homara, któremu towarzyszyła porcja kawioru oraz plasterki rostbefu. Szwadron śmierci zmierzał w stronę wahadłowych drzwi z napisem „Dla Pań”, które w tym momencie się otworzyły. Jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie homar (drogi, ale martwy) wylądował na dekolcie dokładnie poniżej koliai z akwamarynów. Dodatki znalazły miejsce na ciemnoczerwonej sukni od Helmuta Langa oraz sandałkach od Prądy, które dwie godziny temu dostały nagrodę za najlepszą żeńską rolę pierwszoplanową.

Co do mnie, to leżałam na mężczyźnie. Patrzyłam w jego szeroko otwarte z przestachu i bólu oczy, ponieważ w czasie upadku najprawdopodobniej wbiłam się kolaniem w jego krocze. Było to moje pierwsze zetknięcie z genitaliami doktora medycyny Daniela Hofmanna.

Po sekundzie przerażenia żeńska rola pierwszoplanowa uciekła z powrotem do toalety. Tam zamknęła się w kabinie i - jak następnego dnia przeczytałam w gazetach - nie pokazała się już przez cały wieczór. Około północy opuściła podobno miejsce uroczystości tylnymi drzwiami, owinięta w biały obrus.

Kiedy gramoliłam się, żeby uwolnić wijącego się przede mną mężczyznę, babcia klozetowa właśnie przystępowała do wycierania z podłogi eleganczkich dań.



Wymieniłyśmy spojrzenia.

Zrozumienie. Wdzięczność. Dezorientacja.

Mężczyzna tymczasem też stanął już na nogi, obiema rękami trzymał się za genitalia i patrzył na mnie tak, jakbym była ucieleśnieniem Zła. Nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

Zdążyli nas już otoczyć kelnerzy, fotografowie i ciekawscy. Przez tłum przedarła się rudowłosa kobieta, wyglądająca jak przedwcześnie dojrzała obfitych kształtów czternastolatka, rzuciła mi na początek zabójcze spojrzenie, a potem rzuciła się na zdemolowanego mężczyznę.

- Dani, skarbie - zawołała piskliwym głosem. - Co się stało?

I znowu jadowite spojrzenie w moją stronę.

- Wszystko w porządku - wymamrotał Dani, skarb. - Już dobrze.

Wyglądał dość mamie w tej przygiętej pozycji, z jedną ręką wciąż jeszcze zaciśniętą między nogami, drugą szukając oparcia na lekko opalonym ramieniu rudej.

- Pozwól, że zobaczę, skarbeńku - lamentowała ruda i zaczęła manipulować mu przy rozporoku.

- Zabieraj ręce, do cholery! - ofuknął ją Dani, skarb.

- Sama pani widzi, co pani narobiła, głupia krowo! - syknęła w moją stronę.

Jestem zdania, że w chwilach najwyższego napięcia objawia się zawsze prawdziwy charakter człowieka. Pamiętając o tym, starałam się zachować dla siebie mój prawdziwy charakter, przełknęłam obrazę i postanowiłam ukarać tę kobietę pogardliwym milczeniem. W końcu nie chodzi tutaj ani o mnie, ani o nią, tylko o tego biednego faceta, którego pokarało nie tylko uszkodzeniem podbrzusza, ale także wulgarną przyjaciółką.

Wykonałam bezradny krok w stronę tych dwojga.

- Tak mi przykro - szepnęłam. - Może potrzebuje pan lekarza?

- Lekarza? Lekarza?! - kobieta tak przekonująco sypała iskrami ze swoich zielonych oczu, że nie miałam najmniejszych wątpliwości, iż nosi barwione szkła kontaktowe. Pewnie ta wspaniała ruda fryzura też nie była prawdziwa. „Falszywe opakowanie” - pomyślałam, wojowniczo wypinając pierś. Cieszyłam się, że mam dzisiaj co wypiąć. W takich chwilach zawsze dodaje to kobiecie autorytetu.

- On sam jest lekarzem. Za to pani będzie potrzebowała adwokata. I to dobrego!

- Carmen, daj spokój, nie rób takiego przedstawienia. Już wszystko dobrze. W końcu, to nie było specjalnie - wymamrotał pojednawczo Dani, skarbie.

Carmen? Carmen? Koń by się uśmieł. Niemożliwe, żeby to było jej prawdziwe imię! Pewnie zmienia je sobie przy każdej zmianie koloru włosów.

Włosy czarne: „Nazywam się Verona”.

Włosy blond: „Mówią na mnie Claudia”.

Chętnie rzuciłabym jakąś ciętą odpowiedź na jej poziomie. Coś w rodzaju: „Widzę, że rysztoł występuje z brzegów”. Słyszałam raz w jednej sztuce teatralnej. Ale oczywiście w tym momencie nic takiego nie przyszło mi do głowy. Przeważnie tak jest. Kiedy szef opowiada mi jakieś głupoty, też najczęściej tylko mamrocę: „Ehm, tego, nnnooo”. No i nie zrobiłoby to specjalnie wrażenia, gdybym następnego dnia zadzwoniła z ciętą odpowiedzią. Powiedziałam zatem: - Ehm, tego, nnnooo.

Ale babsztyl rozpedził się już na dobre.

- Co to znaczy „nie specjalnie”? - warknęła Carmen tym razem na swego ukochanego. - Mogła cię przecież zabić, albo coś jeszcze gorszego!

W tym momencie pojawiła się na szczęście Jo. W ułamku sekundy oceniła sytuację, złapała mnie za ramię i szepnęła: - Choć, najlepiej będzie, jak się stąd zmyjemy.

Tak też zrobiłyśmy. Pognałyśmy do garderoby, odebrałyśmy nasze płaszcze i wychodząc zobaczyłam jeszcze Daniego z fałszywą Carmen.

Trzymała go władcym gestem pod ramię, a on przemawiał do niej uspokajająco. Nasze spojrzenia spotkały się nad jej ramieniem. Nie umiałam dokładnie zinterpretować wyrazu jego oczu. Mam wrażenie, że była to mieszanina rozbawienia, pogardy i czegoś jeszcze. W każdym razie wtedy po raz pierwszy dotarło do mnie, jakie on ma cudowne oczy.

*17:47*

Obejrzałam choinkę i doszłam do wniosku, że nie mogę jej targać po ulicy za dnia. Wystawiłabym się na pośmiewisko, ktoś by mnie na pewno zobaczył w parku i jeszcze by mnie aresztowali za nielegalne wyrzucanie śmieci. A zresztą, nawet nie biorę pod uwagę możliwości, że po zapadnięciu zmroku nadal będę siedziała w domu. Wtedy już na pewno będę szła spacerkiem przez aksamitną noc z dłonią w dłoni... No, no, no, powoli.

Widok choinki nastroił mnie refleksyjnie. Powinnam zadzwonić do mamy. Poza tym ten niemal pozbawiony igieł szkielet przypomni mi o moim ostatnim związku. To Sasza przywiózł mi tę jodłę swoim srebrnym mercedesem 2,0 i coś tam, potem strasznie się zdenerwował z powodu klejących plam żywicy na tylnym siedzeniu.

Sasza był pedantem, trzeba to sobie jasno powiedzieć. W ogóle byliśmy kompletnie od siebie różni. Pamiętam, jakie to było niemal wzruszające, kiedy w czasie pierwszej randki usiłowaliśmy znaleźć między nami cokolwiek wspólnego.

Sasza zaczepił mnie w saunie, bo omyłkowo wziął mój tatuaż na biodrze za niechcący przyczepioną metkę. Wiadomo, jak to jest. Jak się ludzie poznają na golasa, to zawsze są trochę skrepowani. Ale Sasza miał miły głos, przyjemne oczy i najzgrabniejszą dupkę, jaką w życiu widziałam - tak więc koniec końców dałam się zaprosić na kolację.

Pierwszego wieczora byliśmy jeszcze na „pan” i „pani”, co uznałam nawet za dość romantyczne. Sasza nosił okulary w niklowanej oprawie i wyglądał bardzo mądrze, co jak się później okazało, odpowiadało niestety rzeczywistości.

- Co aktualnie leży na pani nocnym stoliku? - spytał na początek.

Zdębiałam. O co mogło mu chodzić? Próbowałam wyobrazić sobie mój nocny stolik, takim jakim zostawiłam go dzisiaj rano, kiedy od pół godziny powinnam być już w biurze.

Na samej górze leży krem złuszczący. Jak się go rozprowadzi na noc, to zrogowaciała skóra na stopach bardzo łatwo potem rano schodzi. Obok siedzi mój pluszowy króliczek, którego dostałam na urodziny jakieś 150 tysięcy lat temu. Obok dość pełna popielniczka na nie doświetlonych zdjęciach szaf w ścianie, obok kieliszek z zaschniętym czerwonym winem i pudełeczko drażetek z dziurawca na wzmocnienie nerwów.

Kiedy spojrzałam w mądre, czułe, wrażliwe oczy Saszy, wiedziałam, że na razie muszę mu jednak oszczędzić tego widoku.

Z pewnością nie był z takich, którzy na widok moich obnażonych ud wybuchnęliby lubieżnym rechotem, a przy pierwszym kontakcie z moimi palcami u stóp szukaliby ucieczki w toalecie. Jak jednak wytrzymałby konfrontację ze stosem powieści Rosamundy Pilcher, świecącym gumisiem w nogach mego łóżka oraz kartonem gauloise'ów przy wannie?

Nie. Nie można atakować takim natężeniem prawdy od razu pierwszej nocy. To zupełnie tak, jakby na pierwszej randce powiedzieć facetowi, że

zawsze się przegrywa w *Trivial Pursuit* a kiedyś na pytanie: „Jak się nazywa największa wyspa na Morzu Śródziemnym”, odpowiedziało się „Australia”. Nie żeby mi się to kiedyś miało przytrafić. Tak tylko mówię, jako przykład.

- Och - powiedziałaś zatem wymijająco. - To i owo. A cóż takiego leży na pańskim nocnym stoliku?

Pytania, na które nie umiemy odpowiedzieć, zawsze warto odbić do pytającego.

- No więc, na moim stoliku leży obecnie *Chrześcijaństwo w państwach totalitarnych*. To niezwykle pouczająca i godna polecenia książka.

Przytakuje skwapliwie. Jestem zdania, że mieszkanie bardzo dużo mówi o jego mieszkańcach. Potrafię czytać w mieszkaniu jak w biografii.

Co, na przykład, mówi kilometrowej długości kolekcja płyt obok krzesła z wyginanych stalowych rurek?

Mówi tak: „Lubię dyskutować, czytałem Foucaulta i akceptuję, kiedy zamiast seksu masz ból głowy. Dwa razy w tygodniu chodzą na squasha, onanizując się myślę o Patricii Kaas, ale nigdy nikomu bym się do tego nie przyznał, kocham moje stare płyty T-Rexów nad życie i chociaż nie mam nic przeciwko picciu szampana, to jednak doskonale pamiętam, jak smakuje bacardi z coca-colą wlewane do gardła ochrypłego od okrzyków „Ho-Ho-Ho-Szi-Min”.

A co nam mówi regał Billy z IKEI, na nim pełne wydanie dzieł Karola Maya, do tego wysoki na człowieka komputer z milionem dysków poniewierających się wokoło?

Mówi tak: „Kocham mamusię, a przynajmniej tak mi się wydaje, stosunek analny uważam za zboczenie, a owłosione pachy kobiet działają na mnie erotycznie. Moim domem jest internet, chętnie spędziłbym noc z Larą Croft i nie mam nic przeciwko temu, żeby moja przyszła żona nosiła cieliste rajstopy”.

No cóż, takie mieszkania są przynajmniej urządzone szczerze. Gorzej jest z tymi, którzy próbują coś ukryć.

Pod szlachetną wykładziną może się kryć zły charakter. Za ręcznie malowaną porcelaną dominująca matka a za najdroższymi materacami na sprężynach kieszonkowych przerażający liczykrupa. Najobrzydliwsi macho chętnie udają przyjaznych, trzymając w łazience najróżniejszych rozmiarów tampony dla odwiedzających je pań.

Oprawiony plakat z „Museum of Modern Art” może uważnej kobiecie powiedzieć tylko jedno: „Mój właściciel to ostatni biedaczyna. Boi się latać samolotami, nigdy jeszcze nie był w Nowym Jorku, uważa Picassa za zespół muzyczny, następcę „Tic Tac Toe” a siebie za doskonałego kochanka”.

Moje mieszkanie należy niestety do tych szczerze urządzonych. Dlatego za każdym razem bardzo dokładnie się zastanawiam, czy kogoś wpuścić do niego, czy nie. Otworzyć drzwi, wpuścić kogoś do środka, to tak samo, jak się stopniowo przed kimś rozbierać. Prawda coraz bardziej wychodzi na światło dzienne. Z chwilą pozbycia się biustonosza z wkładkami push-up i korygujących rajstop i odpowiednio skrojonych dżinsów ostatecznie zegnamy się z obrazem siebie, który chciałybyśmy zaprezentować męskiemu obserwatorowi. W moim mieszkaniu jestem po prostu naga.

Niestety Sasza zinterpretował moje intensywne milczenie jako zachętę do pogłębienia tematu wymagającej literatury.

- A którą z książek Dona DeLillo uważa pani za jego najlepszą? - spytał Sasza patrząc na mnie przyjaźnie, co przypomniało mi mojego nauczyciela religii w czasie egzaminu ustnego.

Don DeLillo? Don DeLillo?? Kurcze, nazwisko wydaje mi się dziwnie znajome.

- Eeehm, najbardziej podoba mi się jego powieść *Podwiązki!* - wykrzyknęłam w końcu z ulgą. Ostatnio widziałam ją gdzieś na wystawie w jakiejś księgarni. Wielkie dzięki dla mojej pamięci.

Wydaje mi się, że tą odpowiedzią przełamalam lody. Kiedy następnego dnia miałam okazję osobiście zapoznać się z jego nocnym stolikiem, Sasza milczał subtelnie, za co do dzisiaj jestem mu wdzięczna. Książka tego cholernego DeLillo leżała tuż obok nocnej lampki. I miała tytuł *Powiązania*. Prędzej czy później zawsze się człowiek wkopie, jak próbuje grać mądrzejszego niż jest w istocie. W tym wypadku nastąpiło to niestety wcześniej.

Nasz pierwszy wieczór przegadaliśmy w swobodnej atmosferze - to znaczy Sasza gadał, a ja słuchałam. Zadawałam dużo pytań, tylko po to, żeby nie popaść w zakłopotanie, gdybym miała na coś odpowiadać. A Sasza najwyraźniej dobrze się z tym czuł. Mężczyźni uwielbiają kobiety, które dają im poczucie, że są interesujący. I uważają za mądrą każdą kobietę, która słucha tego, co mówią.



Aby na trwałe pozostawić dobre wrażenie, należy przy pierwszym spotkaniu wypowiadać w regularnych odstępach jedynie dwa zdania:

1. Proszę coś więcej o tym opowiedzieć, to takie interesujące.
2. Ach, tego nie wiedziałam.

Tego wieczoru nie wzięłam Saszy do siebie do domu. Nie byłam też u niego. Zrobiliśmy to od razu na miejscu, w męskiej toalecie.

Wiedzieliśmy, że jesteśmy dla siebie stworzeni, ponieważ po żmudnym śledztwie udało nam się jednak odkryć coś wspólnego. Sasza i ja, jak ustaliliśmy pierwszego wieczoru, obydwójce nie lubimy lodów cytrynowych. I uznaliśmy, że to wielce obiecujący początek.

**17:53**

Doktor Daniel Hofmann. Zaraz do ciebie zadzwonię. W imię czego mam z siebie dalej robić kompletną idiotkę? Gapić się w telefon, zajmować się zeszłorocznymi choinkami i nieudanymi związkami?

O rany, rany! Jak ja nisko upadłam! Jeśli teraz do niego zadzwonię, to on sobie pomyśli, że się nim interesuję. A każde dziecko wie, że czymś takim tylko się płoszy faceta. Takie rzeczy ich odstrasza. Natychmiast wycofują się wtedy do swojej ślimaczej skorupki i dają się stamtąd wywabić dopiero długotrwałym ignorowaniem i złym traktowaniem.

Z drugiej strony: mam trzydzieści trzy lata i jestem w nowoczesny sposób wyemancypowana.

A to znaczy, że wprawdzie nie mam pojęcia, jak podłączyć dekodер telewizji satelitarnej, ale mam środki na opłacenie odpowiedniego fachowca.

A to znaczy, że przeszłam kurs samoobrony, gdzie nauczyłam się chwytu obezwładniającego za jądra i mogę sama wracać wieczorem do domu.

A to znaczy, że sama mogę sobie zdobyć dietetyczny stek na obiad i sama ogrzać moją jaskinię.

To mi przypomina od razu zdanie, które przeczytałam gdzieś w jakiejś mądrej książce i które bardzo często od tego czasu cytuję: „Od co najmniej stu lat nie ma po prostu najmniejszego powodu by być mężczyzną”.

Czy ktoś może mi w takim razie wyjaśnić, dlaczego od dwóch godzin czekam na telefon od istoty, która nie ma najmniejszego powodu istnieć?

W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak tylko działać według sprawdzonej zasady:

Jeśli masz ochotę do niego zadzwonić, to koniecznie zadzwoń najpierw do najlepszej przyjaciółki. A jeśli ona rzeczywiście jest twoją najlepszą przyjaciółką, powie ci: „Nie dzwoń do niego”. A jeśli ty rzeczywiście jesteś jej najlepszą przyjaciółką, powiesz: „Okay” i zaczniesz czytać jakąś dobrą książkę.

W takich sytuacjach okazuje się, kto to jest dobra przyjaciółka i co to jest dobra książka.

**17:55**

Johanny nie ma w domu. Zostawiam jej jednak wiadomość na sekretarce, żeby koniecznie do mnie oddzwoniła. Jestem znacznie spokojniejsza i dam sobie spokój z tym dziecinnym wyczekiwaniem.

**17:57**

Już wiem, czemu on nie dzwoni. Jestem za gruba. Jestem bardzo nie-szczęśliwa.

**17:58**

Spalanie tłuszczu. W gruncie rzeczy to jedyna uczciwa odpowiedź, jaką sobie mogę dać.

Bo wyobraźmy sobie: spotykasz się z tym korpulentnym prawie sześćdziesięcioletkiem w restauracji, w której serwetki są tak sztywno wykrochmalone, że spokojnie można ich używać jako podkładki śniadaniowych. Ten obleśny krasnal jest jakimś superhiper-menadżerem nie-

prawdopodobnie znanej firmy, w której chętnie byś się zatrudniła. Mógłby być twoim przyszłym szefem, no ale oczywiście życzy sobie pracownicy, która będzie fachowcem nie tylko w swojej dziedzinie, ale ma też innego rodzaju zainteresowania.

No i przychodzi nieuchronnie taki moment, kiedy z wiadomym spoj-  
rzeniem typu no-to-niech-pani-teraz- pokaże-co-pani-jeszcze-jest-warta,  
zapyta: „A co pani robi w czasie wolnym?”

Jeśli jesteś mądra odpowiesz:

- Niesłuchanie interesuje mnie dekonstruktywistyczna literatura ame-  
rykańska. Ponadto uwielbiam podróżować po kulturalnych metropoliach  
Europy. Widział pan tę nieprawdopodobnie prowokującą wystawę Damiena  
Hirsta w Londynie? Cóż, a jeśli już rzeczywiście zdarzy mi się spędzić  
wieczór w domu, to szczerze mówiąc najchętniej oglądam sobie czeską  
awangardę filmową na kanale ARTE. Najlepiej się przy tym odprężam.

Ale jeśli jesteś uczciwa, odpowiesz:

- Spalanie tłuszczu. Moje największe hobby to spalanie tłuszczu. A to  
dlatego, że nie należę ani do tych 0,8% kobiet, które mogą jeść, ile chcą a i  
tak szpanują na przyjęciach niedowagą, ani do 4,3% szkieletów, które w  
ciągu dnia wtranzalają połówkę kiwi i twierdzą, że są najedzone. Ja lubię  
jeść. I jem dużo. Uwielbiam sos śmietanowy na fettucini, czekoladowe cu-  
kierki, batoniki i tłusty brzeżek na steku. I dlatego każdą skromną chwilę  
wolnego czasu spędzam najchętniej w studio fitnessu. Tak, należę do grona  
pocących się idiotek, które przez godzinę potrafią wchodzić po wymagi-

nowanych schodach na stair-masterze. Które męczą się na seansach ćwiczeń na brzuch, nogi, pośladki. Które przy akompaniamencie przeboju *I will survive* wzmacniają przywódciele i prostownicy. Na bieżni wyrobiłam już tyle kilometrów, ile wynosi pana roczna pensja. Pyta pan o czas wolny? Są takie okresy, kiedy tyję i są takie, kiedy chudnę. Nie mam czasu wolnego.

Jo zapytała kiedyś takiego właśnie brzuchatego menadżera w czasie rozmowy wstępnej, kiedy ostatni raz udało mu się zobaczyć własnego fiuta. Nie muszę dodawać, że pracę dostała panienka, która od tego czasu, gdy tylko żona grubego szefa wyjeżdża na kolejną farmę piękności, rysuje mu lakier whirlpoola wystającymi kośćmi biodrowymi.

Sama nie wiem. W jednym czasopiśmie, które mogłoby się nazywać „Tylko dla kobiet noszących rozmiar 38 i mniejszy”, przeczytałam kiedyś coś przerażającego o Claudii Schiffer: otóż podobno waży tylko 56 kg! A jest o 12 cm wyższa ode mnie!

Ale za to ma może gorszy charakter i mniejszą radość z życia. To wegetowanie na walizkach. Dzisiaj Miami, jutro Paryż, pojutrze Sydney. Nieee, to przecież nie jest życie!

Ciekawe czy Claudia często już czekała, żeby ktoś zadzwonił. Czy do niej w ogóle można ot tak sobie zadzwonić?

Ciekawe, czy miała kiedyś ochotę się oszpecić po złożeniu wizyty w bezlitośnie oświetlonej przebieralni domu towarowego H&M?

Czy przymierzając minisukienkę bez zamka błyskawicznego utknęła kiedykolwiek w połowie drogi i musiała prosić o pomoc sprzedawczynię?

Czy idąc po seksie do łazienki kiedykolwiek obwiązywała się w biodrach kołdrą?

Czy ona wie, jak to jest, spędzić cały wieczór na wdechu z wciągniętym brzuchem? Albo jaki człowiek czuje się upokorzony, kiedy w chwili nieuwagi czule pochyla się, będąc nago, nad ukochanym, a zbyt małe piersi zwisają wtedy smutno, jak puste torebki po soku owocowym?

56 kilogramów! Dobrze wiem, jak ja bym wyglądała ważąc 56 kilogramów! Należę do kobiet, które zawsze chudną od niewłaściwej strony. Zero cycka, zero pupy. Ale za to uda jak łyżwiarka szybka i łydki jak cię mogę.

Dosyć tego czarnowidztwa! Trzeba zmierzyć się z rzeczywistością.

Tkanek tłuszczową należy nosić z godnością. Muszę nastawić się pozytywnie. Pomyśleć o różnych dodających otuchy wydarzeniach, które pogodzą mnie z własnym ciałem.

Zastanówmy się. Hmm. O, już mam coś fajnego! Niestety znowu w związku z Saszą. Powiedział mi kiedyś najcudowniejszy komplement, jaki w życiu słyszałam.

Leżeliśmy bardzo wyczerpani i całkiem nadzy pod jego biurkiem. Patrzył na mnie rozjaśnionym wzrokiem i kiedy ja rozpaczliwie rozglądałam się za czymś, żeby się przykryć, powiedział: Gdybym był tak piękny jak ty, to przez cały dzień bym się tylko onanizował.

Po nadzwyczaj krępującym incydencie w czasie rozdania nagród filmowych - który ostatecznie nie przyniósł sławy ani mnie ani klasie robotniczej - przez parę dni czułam się podle.

Potrzebowałam czasu, żeby się dowiedzieć, z czego to wynikało. Nie byłam nawet specjalnie zawstydzona tym, co się stało, wkurzało mnie za to okropnie, że tak bezradnie zachowałam się wobec tego rudego czupiradła. Spowodowanie katastrofy to jedno, ale zostać upokarzająco potraktowaną przez odmóżdżoną właścicielkę zielonych soczewek kontaktowych - ta zadra utkwiała głęboko. Zbyt głęboko.

W dodatku usłyszałam od Jo, że Carmen gra na RTL-u w ostatnim odcinku jakiegoś serialu lekarskiego siostrę Monikę, która zakochuje się w owłosionym ordynatorze chirurgii, wskutek czego on opuszcza szpital, żonę i słodzutki dzieci, aby razem z nią rozpocząć nowe życie w Andaluzji.

Po kilku telefonach do paru telewizyjnych szycy Jo dowiedziała się ponadto, że Carmen nazywa się Koszłowski i naprawdę ma na imię Ute. Na temat jej życia uczuciowego nic nie udało się Jo wyszperać.

Ute Koszłowski!

Poczułam żądzę zemsty.

Wyobraziłam sobie rozdanie nagród filmowych, na którym Bruce Willis prosi mnie, żebym zgodziła się spędzić z nim noc. „You look so attractive. I want you. And I want you now” - szepcze mi do ucha. Wystarczająco głośno oczywiście, aby mogła usłyszeć to Carmen, która właśnie podeszła błagać

go o autograf. Całą godzinę przed zaśnięciem spędziłam na układaniu różnych scenariuszy zemsty, aż wreszcie Carmen została bez faceta, bez pracy i bez włosów. Jednak nie da się wygrać fantazjowaniem z rzeczywistością.

Następnego dnia lało jak z cebra, było jak na tę porę roku nienormalnie zimno i nic, ale dosłownie nic nie wskazywało na to, żeby ten dzień miał być dla mnie dniem, który zmieni moje życie.

Jak co rano, nieumyta i rozczochrana wymknęłam się w szlafroku na klatkę, żeby wyjąć ze skrzynki gazetę. Co rano mam nadzieję, że nikt mnie na tym nie przydybie.

Niestety nie należę do kobiet, które wyglądają przyzwoicie zaraz po przebudzeniu. Między innymi dlatego, że najczęściej nie chce mi się wieczorem zrobić demakijażu. Poza tym moje włosy najwyraźniej w nocy robią wszystko, tylko nie śpią. Za każdym razem jestem zaskoczona, kiedy spojrzę rano w lustro. Najczęściej niemile. Na mojej głowie piętrzą się najbardziej zwariowane fryzury. Czasami jak mam humor to próbuję wymyślić, jak przy laniu wosku, co przedstawiają te konstrukcje na mojej głowie: „Nieskoordynowany kosmyk wystający z uklepanych na potylicy włosów pozwala wnioskować o niezwykłej wręcz energii i żądzy czynu. Loczek niezbyt korzystnie wijący się pośrodku czoła to oznaka erotycznej emanacji i nadzwyczajnej atrakcyjności seksualnej”.

No cóż. Tego ranka nie miałam na takie zabawy ochoty. Wyglądałam po prostu jak mop, którym można się wygodnie dostać w każdy kąt. Koło skrzynek, jakże mogłoby być gorzej, spotkałam panią Zappke z parteru,



która jest jednocześnie naszą dozorczynią i uważa, że może się wtrącać do wszystkiego, a najbardziej do tego, co w ogóle nie powinno ją obchodzić.

Dwa miesiące wcześniej miałam dość krótką, ale głośną przygodę z kierowcą, który codziennie w południe przywoził mojej sąsiadce gorący obiad z restauracji. Mniej więcej w tym czasie pani Zappke przydybała mnie w sobotę około czwartej po południu, kiedy usiłowałam wyłowić pocztę ze skrzynki. (Cztery lata temu zgubiłam kluczyk od skrzynki i od tamtego czasu używam do tego chochli oklejonej na końcu dwustronną taśmą klejącą.)

- Widzę, że trochę się zabalowało wczoraj w nocy - odezwał się za moimi plecami jazgotliwy głos, który tak mnie przestraszył, że niezwykle obiecująco wyglądająca koperta, którą właśnie udało mi się podsunąć do miejsca dającego szansę na wyciągnięcie, z powrotem odfrunęła w czeluście skrzynki.

- Wie pani, w końcu weekend - odpowiedziałam idiotycznie - Można się wyspać.

- Powinna sobie pani dać dorobić kluczyk.

Nic nie odpowiedziałam. Wielce obiecująca

koperta ukazała się w szparze skrzynki. Nadawcą była gazownia. Niech to szlag.

- W naszym domu to wszystko przez ściany słyhać - nie dawała za wygraną pani Zappke. W jej głosie pojawiły się dwuznaczne tony.

- Yhm.

- Ten Sander z drugiego znowu ma zapalenie oskrzeli. Mówię pani, jak zakaszle, to u mnie brzęczą szklanki w serwantce.

- Yhm, yhm, przykre.

- Albo ci homoseksualiści z ostatniego. W końcu nie mam nic przeciwko temu, no nie, ale w weekendy nigdy nie wracają przez czwartą nad ranem. I tak, proszę pani, hałasują na klatce, że nawet mój mąż się budzi, a on ma zdrowy sen, oj, zdrowy. No cóż, ciekawa jestem, jak to długo z nimi potrwa. W końcu wiadomo, że takie związki homoseksualne nie są za bardzo trwałe.

- Yhm...

- A pani, pani Hübsch?

Właśnie przykleiła mi się do chochli pocztówka od Jo.

- Pani to chyba też ma jakiegoś nowego przyjaciela?

Przeleciałam wzrokiem, co napisała Jo:

„Cześć Cora! Nadal dostajesz codziennie jedzonko na kółkach? Zawsze twierdziłam, że nie ma to jak coś ciepłego w brzuszku. Tak trzymać! Pozdrowienia z Nowego Jorku!

Używaj seksu w łóżku i gdzie indziej, bo radzi ci to najlepsza przyjaciółka, Jo!”

Jakie słodziutkie. Zawsze tak robimy, żeby ostatnie linijki listów, czy kartek, były rymowane. Jo ma oczywiście łatwiej, bo jakoś do Jo jest więcej łatwych rymów: „bo”, „byle co”, „wałę to”, „że hoho”.

Do Cory niby też coś jest, ale do Hübsch już słabo. Najlepszy wierszyk napisałam do niej kiedyś z Majorki:

„Pogoda pod psem, a czasem pod kotem,

nawet sprzątaczkę marzną tu pokotem

Marzy mi się sweterek, najlepiej angora.

Trzęsącą dłonią pozdrawia Cię

Cora”

Wyszło genialnie. Moim zdaniem.

- Pani Hübsch? Ma pani nowego przyjaciela? Tak mi się przynajmniej wydawało przez te ostatnie dni.

Och ty, babsztylu jeden. Ty to umiesz wierceć dziurę w brzuchu.

- Słucham? A, tak, no tak. Można tak powiedzieć - Swoją drogą ciekawe skąd ta zgaga może wiedzieć o moich spełnionych nocach? Przeczuwałam najgorsze.

- Wie pani, pani Hübsch, bo w tym domu słycać wszystko, mówię pani, do-sło-wnie wszystko!

Cóż, muszę przyznać, że mój nowy kochanek nie należał do tych zahamowanych, pseudomęskich typów, którzy nawet w łóżku nie okazują żadnych emocji. Uwielbiałam jego głośność. Przynajmniej kobieta wtedy wie, kiedy może przestać udawać, że umiera z rozkoszy. Nie ma nic gorszego od facetów, którzy kończą nagle i bez żadnego wcześniejszego sygnału. Jak tu w takich warunkach wiarygodnie zasymulować orgazm?

No, a po drugie było mi z nim naprawdę super. Znaczą z czysto seksualnego punktu widzenia. Od początku wiedziałam, że ten facet to nic na dłużej, bo nie rozumiał moich dowcipów. A jeśli czegoś naprawdę nie cierpię, to właśnie tego, że ktoś nie śmieje się z moich dowcipów. Bo one są naprawdę dobre. Przynajmniej większość.

Na szczęście tego dnia byłam w świetnym humorze i stać mnie było na ciętą odpowiedź.

- Ma pani rację, pani Zappke, jak najbardziej - zaczęłam słodziutkim głósikiem. - Ja też słycać dosłownie wszystko, co się w tym domu dzieje. Tylko pani i pani męża jakoś nigdy nie słycać. Dziwne, prawda? Życzę miłego dnia.

Ale ją замуrowało, babsko jedno! A co!

Wiadomego dnia, w którym miało się odmienić moje życie, nie byłam już jednak w najlepszym humorze, nie spędziłam nocy z ekscytująco gło-

śnym kochankiem, a na głowie miałam coś, co musiało wyglądać jak fryzura Tiny Turner po nocy pełnej sennych koszmarów.

- Naprawdę powinna pani sobie dorobić ten klucz - powiedziała pani Zappke.

Widocznie wracała z zakupów, bo ciągnęła za sobą wielkie torbiszczki na kółkach. Żeby osłonić się przed deszczem miała na głowie przezroczysty plastikowy kapturek, trzymający się dzięki specjalnej gumce pozostawiającej na czole brzydkie czerwone pręgi.

- Tak, tak, właśnie się robi - mruknełam. Wprawdzie w porównaniu z panią Zappke wyglądałam jak wysoko opłacana modelka, niemniej jednak starałam się jakoś ukryć twarz za gazetą.

Po co ja to sobie robię? Czemu nie wezmę prysznic, nie umaluję się i nie ubiorę jak należy zanim w ogóle wyjdę z mieszkania? Przeczytałam gdzieś, że Verona Feldbusch, nie zejdzie nieumalowana nawet do skrzynki na listy. I to mimo że w przeciwieństwie do mnie spokojnie mogłaby sobie na to pozwolić.

Zamiast tego stoję w niepozornym szlafrocisku, z łyżką w dłoni na korytarzu i pozwalam się poniżać naszej okutanej w plastik dozorczyń. Zdecydowanie coś jest nie tak z moim życiem. Co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

Zostawiłam Zappke tam, gdzie stała, i uciekłam do mieszkania. Kawa się skończyła. W gazecie w dziale „Różne” wyczytałam, że Carmen Ko-

szlowski ma dostać rolę w jakimś nowym sitcomie. Jakież to życie potrafi być niesprawiedliwe.

Wypaliłam sześć papierosów. I dostałam bólu żołądka. Tym lepiej. Byłam za bardzo przygnębiona, żeby iść do pracy i obfotografować 25 karnap. Chciałam być chora. Co najmniej przez trzy dni. Potrzebowałam czasu na uporządkowanie swojego życia.

Wybrałam numer mojego lekarza domowego. I od tego wszystko się zaczęło.

\* \* \*

Wszystkie gabinety lekarskie wyglądają jednakowo. Po mojej prawej ręce stała leżanka z jasnoszarym plastikowym obiciem, obciążona dwiema ciężkimi podkładkami jednorazowego użytku. Nad leżanką wisiała plansza przedstawiająca wnętrze ludzkiego ciała. Narządy były pięknie pokolorowane i miały podpisy.

Czy ktoś w ogóle mógłby wpaść na pomysł, żeby sobie powiesić coś takiego na przykład w salonie? Kogo interesuje, gdzie dokładnie leży trzustka? Obok ultrasonografu stała rzeźba. Plastikowe serce jak żywe. Oplecione błękitnymi i czerwonymi żyłkami. Brr. Obrzydlistwo. Byłam w fatalnym humorze. Na półce stały dzieła o tytułach w rodzaju: *Zmiany*

*miażdżycowe w obrębie tętnic, Pacjent z nadciśnieniem tętniczym czy Jelito grube wczoraj i dziś.*

Czemu lekarze zawsze stawiają na półkach takie coś? Chcą zrobić na nas wrażenie? Czy oni myślą, że my pomyślimy, że oni to wszystko przeczytali? A może im się wydaje, że to nas uspokoi, jak będziemy wiedzieli, że w razie gwałtownego problemu z jelitem grubym lekarz szybko zajrzy pod hasło „gwałtowny problem z jelitem grubym” i po sprawie?

Naprawdę byłam w fatalnym nastroju. Nieprawdopodobnie fatalnym. W tych okolicznościach bez trudu zdołam przekonać mojego domowego lekarza, że jestem niezwykle cierpiąca.

- Dzień dobry pani. Przez najbliższy tydzień zastępuję doktora Bahra - odezwał się za moimi plecami jakiś kompletnie nieznany mi głos.

Tylko tego mi brakowało! Zastępstwo! Pewnie jakiś emeryt od kombatantów, który jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej amputował kończyny dolne na polu walki i dorabia teraz do emerytury. Boże, gdybym o tym wcześniej wiedziała, to wołałabym pójść do pracy.

- Z czym pani przychodzi?

Postać w białym kitlu przeszła obok mnie, usiadła naprzeciwko po drugiej stronie biurka i spojrzała na mnie.

On się gapił. Ja się gapiłam. Czy o tym właśnie się mówi „trwało to całą wieczność”?

Mój rozum natychmiast zastrajkował i ku własnej rozpaczycy usłyszałam, jak moje usta szepczą:

- Dani, skarbie...

- Ehm, cóż, właściwie nazywam się Hofmann. Doktor Hofmann.

- Tak, tak, oczywiście, przepraszam. Ja nazywam się Hübsch. Cora Hübsch.

- Wiem. Widzę na karcie.

- Tak, oczywiście, przepraszam, eeee, tego. Jak się pan miewa? Znaczą, już wszystko w porządku? Tak mi przykro za to, co się stało.

Doktor Hofmann patrzył na mnie. Nie do końca przyjaźnie. Raczej jak na nietypowo zgrubiałe jelito grube.

- A wie pani, nad czym przez cały czas się zastanawiam? Po co właściwie gnała pani z tym homarem w stronę toalety? Czyżby nie spodobał się pani wystrój sali? A może z zasady jada pani homary w ubikacji?

O Boże! Jak mu to wszystko wyjaśnić? I to w paru słowach?

Mówiłam, jakby miało mi to uratować życie, a nawet coś więcej. Niech się dzieje co chce! Ten facet mi się podobał. No i - było nie było - miałam już przecież kontakt z jego genitaliami.

Patrzyłam na niego nabożnie, dukając coś o „babci klozetowej z kanapkami”, „walce klas” oraz „Marksie i niesprawiedliwości społecznej”.



Niebieskie oczy, ciemne włosy. Takie zestawienie to rzadkość. No i te dłonie! Byłoby grzechem, gdyby te dłonie nie umiały grać na pianinie. Parę ciemnych włosków wystawało spod wycięcia białego T-shirta. Mogłam się domyślać, że ma owłosioną klatę. Kocham facetów z owłosioną klatą! Te ciemne wysepki na klatce piersiowej zwężające się lekko w drodze do pępka, by zaraz potem znowu się rozszerzyć w wielce obiecujący gąszcz... Hm, no tak.

- W każdym razie ogromnie mi przykro - zakończyłam swoją chaotyczną relację.

Uśmiechał się do mnie łagodnie. Zupełnie tak, jak lekarz uśmiecha się do groźnego psychopaty, który gorączkowo usiłuje dowieść personelowi w domu wariatów, że jest najzupełniej normalny.

- Zapomnijmy już o tym. Co panią dzisiaj sprowadza?

Ojezujezujezu! Muszę coś wymyślić! W tej sytuacji ból żołądka nie wchodzi oczywiście w rachubę. Nie do zniesienia była dla mnie myśl, że ten bóg, ten Adonis miałby obmacywać mój niewytrenowany brzuch.

Gorączkowo przelatywałam w myślach całe moje ciało w poszukiwaniu czegoś najlepszego do pokazania. Już mam! Przykurcze mięśni w okolicy szyjnej. Doskonale. Mam je od zawsze, czyli od kiedy mam szyję, no i do tego badania raczej nie trzeba się rozbierać.

- Przykurcze mięśni w okolicy szyjnej - wyrzuciłam z siebie triumfalnie.

- Mam przykurcze mięśni w okolicy szyjnej.

To, co potem nastąpiło, to były najbardziej upokarzające chwile, jakie kiedykolwiek przeżyłam. Musiałam rozebrać się do samej bielizny i z rozłożonymi ramionami balansować po wyimaginowanej linii. Dr Hofman wyjaśnił, że chce zobaczyć, czy nie mam przekrzywionej miednicy - ja jednak sądzę, że chciał zobaczyć, jak balansuję z rozłożonymi ramionami po wyimaginowanej linii odziana tylko w spraną bieliznę z supermarketu. To było poniżające.

Druzgocącym wynikiem całej tej procedury była postawiona przez doktora Hofmanna diagnoza, że mam o całe 1,3 centymetra krótszą prawą nogę i w związku z tym dostanę receptę na wkładki.

- Czy mogę coś jeszcze dla pani zrobić?

Tak! Tak! Może mi pan dać szansę odkręcenia tego wszystkiego! Może mnie pan zapytać, czy chcę za pana wyjść! Co robić? Co powiedzieć?

No i siedziałam jak jakiś tępy pokręcony tłumok, który od jutra musi chodzić z wkładką ortopedyczną w bucie. Wiedziałam, że jeśli teraz tak po prostu wyjdę z gabinetu, to już do końca życia nie podniosę się z tej hańby.

Pomyślałam o Ucie Koszłowski. Pomyślałam o Brusie Willisie. Pomyślałam o Veronie Feldbusch, która powiedziała kiedyś: „Ja tam się niczego nie wstydzę”.

Jak już, to już. W końcu i tak niewiele miałam do stracenia:

- Owszem. Może pan coś jeszcze dla mnie zrobić.

Doktor Hofman spojrział na mnie zaskoczony. Boże, ależ z niego przy-  
stojniak! Wstałam, sięgnęłam przez biurko po bloczek z receptami i zapi-  
sałam na nim mój numer telefonu.

- Może pan do mnie zadzwonić. Jak dotąd poznał pan moje najgorsze  
strony. Mam i lepsze.

**18:08**

Telefon! Ach, czuję się akurat taka niezłomna. Po prostu nie podniosę.  
Niech się nagra na sekretarce. Kobieta taka jak ja nie bywa w sobotni wie-  
czór w domu.

**18:09**

- Sorry, Cora, ale nie mogłam wtedy podejść do telefonu. Teraz już...

- Halo, halo, Jo?

- A ty czemu od razu nie odbierasz?

- Chciałam najpierw usłyszeć, kto dzwoni.

- A niech to! Dalej czekasz na telefon od tego swojego osobistego lekarza?

- No, wiesz, i tak i nie. No więc tak właściwie, to...

- Słuchaj, nie uważasz, że jesteś już trochę za stara na takie zabawy?

Jo jest bardzo pragmatyczna. Czasami to bardzo pomaga, ale w niektórych sytuacjach może być przykre.

Mniej więcej cztery lata temu Jo awansowała na dyrektora działu marketingu w swojej firmie, co wywindowało ją do grupy zarobkowej poza zasięgiem uczucia zazdrości. Czarne służbowe BMW bardzo do niej pasowało, podobnie jak kostiumy Dolce & Gabbana i miniaturowa, bezustannie dzwoniąca komórka.

W ciągu czterech tygodni przetestowała, jaki szampan smakuje jej najbardziej, nauczyła się jak krótko i bez ogródek wymówić pracę kompletnym nieudacznikom i co odpowiedzieć zadufanemu w sobie macho, który uważa, że każda kobieta na kierowniczym stanowisku to zimna, żadna władzy flądra z wąsikiem, którą trzeba od czasu do czasu porządnie wydmuchać.

- Wie, pan - zwykła mawiać do takiego Jo - o prawdziwym równouprawnieniu kobiet i mężczyzn będzie można mówić dopiero wówczas, kiedy na jakimś znaczącym stanowisku zasiądzie niekompetentna kobieta.

Uwielbiam Jo. Jestem z niej dumna i na jej przykładzie przekonałam się, jak ciężki jest los kobiety, która ma długie, kręcone blond włosy, miseczki

duże „C”, dupeńkę jak Naomi Campbell i rozum jak stara hrabina von Dönhoff.

Jo to najwspanialsza kobitka, jaką znam i ma ten sam dylemat co Sharon Stone, która powiedziała kiedyś: „Mój największy problem to znaleźć normalnego faceta”.

No i Jo nie może sobie znaleźć normalnego faceta. Co gorsza, nie może nawet znaleźć odpowiedniego terapeuty. Nawet oni się jej boją. Od roku Jo chodzi do terapeutki i żyje w erotycznej diasporze, bo próbują ją podrywać wyłącznie bezmózgowe mięśniaki, którzy nie kapują, że nie mają czego u niej szukać.

Jo potrzebuje inteligentnego, stojącego na własnych nogach faceta.

A tacy są:

- a. rzadkością
- b. najczęściej są już żonaci z sekretarkami.

To smutne. Ukułyśmy z Jo na ten temat ciekawą teorię, której chyba jak dotąd nie znalazłam w żadnym kobiecym czasopiśmie.

Otóż faceci szukają kobiet, które pasują do ich celów. Początkujący bankowiec z ambicjami ożeni się z kobietą, która mogłaby być równie dobrze małżonką przewodniczącego rady nadzorczej. Ma drogi wygląd

i jak najbardziej może wykonywać jakiś ekskluzywny zawód, który poświęci potem dla rodziny i jego kariery.

Większość facetów ma problemy, jeśli kobiety dążą do celów niezgodnych z ich celami. Rezultat najczęściej jest taki, że kobiety te swoje cele zmieniają. Rezygnują z pracy, żeby wychowywać dzieci. Rezygnują z awansu, bo w związku z jego karierą muszą się przenieść z rodziną do innego miasta.

Kobiety zmieniają cele a mężczyźni zmieniają kobiety. Proste jak drut.

Jo nigdy nie straciła z oczu swego celu, ale za to niejednego faceta. Jej ostatni przyjaciel, którego do dzisiaj nazywamy Ben Ograniczony, wyjechał na południe Niemiec. Był nauczycielem i chciał się przekwalifikować na komputerowca. „Wyglądasz jak kobieta, ale w rzeczywistości jesteś mężczyzną” - powiedział do niej głęboko urażony, kiedy ona odmówiła rezygnacji z pracy, żeby się z nim przenieść do Bawarii. On wyjechał - ona była nieszczęśliwa.

No bo w swojej naiwności Jo naprawdę sądziła, że jego to nie rusza, że ona zarabia pięć razy więcej od niego. Ale bądźmy szczerzy: pod tym względem ciągle jeszcze żyjemy w epoce kamiennej. To on chce być tym, który przytarga do jaskini ubitego mamuta. Jej wolno tylko przyrządzić z niego smaczną zupkę. A Jo sama chce polować na mamuty. I dlatego ma problemy.

Ja natomiast jestem zupełnie inna. Bardzo niechętnie się do tego przyznaję przed Jo. Ale mam takie fazy, że marzy mi się, żeby dostawać okre-

ślone pieniądze na prowadzenie domu, komenderować personelem, a poza tym zajmować się układaniem bukietów kwiatowych

i wieczorami czekać na męża z dwójką dzieci na ręku w najnowszej kreacji Chanel.

Ale takich rzeczy oczywiście głośno się nie mówi. Więc nie mówię.

- Co z tobą, Cora? Właśnie się rozmarzyłaś, że jesteś panią doktorową i układasz bukiety kwiatowe?

O, kurcze, ale mi głupio. Widocznie jednak kiedyś musiałam jej coś napomknąć.

- A może byś tak do mnie wpadła? Mogłybyśmy sobie ugotować spaghetti i obejrzeć coś głupiego w telewizji? Co ty na to? Jak za starych dobrych czasów.

Ach, łąza się w oku kręci.

Znam Jo z czasów, kiedy obie miałyśmy po siedem lat. Wtedy właśnie państwo Dagelsi wprowadzili się na naszą ulicę. Dzień później położyłam im na wycieraczkę krowi placek zawinięty w gazetę, podpaliłam, zadzwoniłam do drzwi i uciekłam, gdzie pieprz rośnie. Ojciec Jo zdeptał ogień zabryzgując sobie krowim gównem spodnie aż do kolan, a Jo została moją najlepszą kumpelką.

Do dzisiaj bardzo wysoko oceniam siebie za to, że zdecydowałam się zaprzyjaźnić z tak piękną dziewczynką. Jo już wtedy była piękną i wybranie się z nią na basen było dla mnie wyczynem wymagającym bardzo

dużej siły charakteru i mocnego poczucia własnej wartości. U jej boku stawałam się niewidoczna. Żaden koleś już na mnie wtedy nie spojrział, a kiedy w czasie rozmowy usiłowałam coś wtrącić, wszyscy gapili się na mnie z takim zaskoczeniem, jakbym przed sekundą wyrosła spod ziemi.

Tak, tak, przyjaźń z Jo nauczyła mnie pokory.

- No co jest, Cora? Chyba nie powiesz mi, że cały wieczór zamierzasz przesiedzieć w domu?

- Zamierzać nie zamierzam, ale chyba inaczej się nie da.

- No nie, posłuchaj, co ci powiem. W tej chwili muszę jeszcze przerzucić tutaj trochę papierów, ale jak tylko skończę to jeszcze raz do ciebie zadzwonię. A wtedy albo nie podniesiesz, bo on do ciebie zadzwonił i właśnie bzykacie się na stole w kuchni, albo podniesiesz i wtedy, przysięgam, zrobię wszystko, żebyśmy spędziły dzisiaj odlotowy wieczór.

- Mmmmh, no nie wiem. A kiedy zadzwonisz...? Jo? Halo?

Odłożyła. Też bym chciała mieć parę papierów do przerzucenia.

Po wizycie u doktora Daniela Hofmanna czułam się w siódmym niebie. Tak jest! Odważyłam się! Byłam bohaterką, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Nieważne, czy zadzwoni, czy nie. Wzięłam swój los w swoje ręce.



Po pierwsze wywaliłam do śmieci receptę na wkładki ortopedyczne. W końcu ta krótsza prawa noga przez trzydzieści trzy lata dzielnie niosła mnie przez życie i nie były to wcale najgorsze lata, ogólnie rzecz biorąc.

Po drugie, usiłowałam dodzwonić się do Jo.

- Przykro mi, ale pani Dagelsi jest poza officem. Ma ważny całodzienny meeting.

Office? Meeting? Boże, jak to brzmi! Jeśli kiedykolwiek miałabym dostać stanowisko z własną sekretarką, natychmiast wprowadziłabym z powrotem język ojczysty jako urzędowy.

Cały dzień spędziłam w pozycji wyprostowanej. Odzyskałam godność. Wyszłam z biura godzinę później niż zwykle i zrobiłam sobie jeszcze porządny spacer po mieście. Nie chciałam wmanewrować się w głupią sytuację, że wracam do domu i siedzę czekając, czy może zadzwoni. Poza tym, kiedy kobieta łaskawie daje swój numer telefonu, a potem jej nie ma, kiedy on zadzwoni, to jest to oznaka nonszalanckiej swobody.

No, a poza wszystkim, jak sobie jeszcze skojarzyłam, to przecież nieważne, czy on zadzwoni. Naprawdę. Tu chodziło wyłącznie o godność kobiety. Chcesz, to dzwoń, nie chcesz, to nie dzwoń. Mnie tam wszystko jedno. Podchodzę do tego luźniutko, bo jestem wewnętrznie mocna.

Kiedy wróciłam do domu i automatyczna sekretarka powitała mnie dwoma zerami na wyświetlaczu, byłam zdruzgotana.

*18:11*

Automatyczna sekretarka zwróciła nam kobietom wątpliwą swobodę. Dawniej galant słał swej wybrance listy albo o późnej godzinie zjawiał się pod balkonem, aby zaprezentować jej własne kompozycje. A to oznacza, że kobieta musiała czekać, żeby czegoś niechcący nie przegapić.

Potem był taki niekorzystny okres mniej więcej siedemdziesiąt lat temu, kiedy wprawdzie był już telefon, ale jeszcze nie było automatycznych sekretarek. A to oznacza, że kobieta musiała czekać, żeby niczego nie przegapić. Chyba że, jak to było w zwyczaju u początków telekomunikacji, pani miała służącą, która odbierała telefony spełniając zatem rolę automatycznej sekretarki.

Do dziś pamiętam, jak czekałam na pewien telefon jakieś dwadzieścia lat temu. Gospodarz naszej klasy, obiekt westchnień wszystkich dziewczyn, dał mi do zrozumienia, że być może zabierze mnie na mecz hokeja.

Oczywiście, nie było u nas w domu ani automatycznej sekretarki, ani bezprzewodowego telefonu. Przedpotopowy aparat o prawie niesłyszalnym dzwonku i słuchawce ważącej mniej więcej tyle co udziec cielęcy z kością,

stał w przedpokoju. A to znaczy, że ani nie mogłam siedzieć w swoim pokoju, ani słuchać głośno muzyki, ani oglądać telewizji, ani się kąpać, ani wziąć prysznic, ani zejść do spiżarni w poszukiwaniu czekolady.

Byłam skazana na siedzenie przez całe popołudnie w przedpokoju, w którym hulały przeciągi, żeby za wszelką cenę odebrać przed ojcem.

Jak we wszystkich rodzinach o klasycznej strukturze, mój ojciec, jako żywiciel rodziny sprawował też niejako najwyższą władzę nad telewizorem i telefonem. Emancypacja była jeszcze w powijakach i jako głowa rodziny to on sprawował funkcję niepodzielnie panującej automatycznej sekretarki. Podejrzewam zresztą, że nie tylko magazynował i przekazywał wiadomości, ale też w niewłaściwy sposób komentował.

Można to jeszcze jakoś zrozumieć, bo w końcu byłam jedynaczką. A ojcowie mający jedną jedyną ukochaną córeczkę rozwijają w sobie jakieś wynikające z jak najlepszych intencji, niemniej jednak fatalne w skutkach instynkty opiekuńcze.

Nie mogę wprawdzie niczego udowodnić, ale jestem przeświadczona, że przez całe lata wypląsał przez telefon moich wielbicieli, po części zanim jeszcze mieli szansę zostać moimi wielbicielami. Świadczyć o tym mogą strzępy rozmów, jakie zdarzało mi się wtedy podsłuchać.

- A kim zamierzasz być w przyszłości?
- Że co proszę? Chcesz się migać od wojska?
- Co to znaczy, że „bastujesz” po dziesiątej klasie?

Z tego powodu postawiłam przy telefonie rozkładane krzeselko (aby utrzymać wysokość rachunków telefonicznych w możliwie niskim przedziale, rodzice zrobili wszystko, aby korzystanie z telefonu było maksymalnie niewygodne), położyłam sobie na kolanach pamiętnik i spędziłam mniej więcej godzinę na pisaniu godnych podlotka wierszy o miłości.

Wtedy jeszcze nie byłam taka oblatana w sztuce czekania jak dzisiaj. Może dlatego, że nie przeczytałam jeszcze tylu poradników dla kobiet, które skutecznie wyhamowały moją kobiecą, dziecięcą, spontaniczną impulsywność.

W każdym razie po siedemdziesięciu pięciu minutach znudziło mi się. Nakręciłam numer gospodarza naszej klasy, żeby mu powiedzieć, że przez ostatnią godzinę cały czas rozmawiałam przez telefon, a on pewnie wielokrotnie próbował się bezskutecznie do mnie dodzwonić. Jakuba nie było w domu. Odebrała za to jego matka, aktywnie działająca w Komitecie Rodzicielskim. Zapytała mnie, kim zamierzam zostać w przyszłości. Wydaje mi się, że Jakub też był jedynakiem. Jakoś tak nic później już z tego nie wyszło.

Dzisiaj, jak powiedziałam, fenomenologia czekania uległa dramatycznej zmianie, dzięki nieobecności chroniących młodzież rodziców i obecności automatycznych sekretarek i bezprzewodowych telefonów. Zmiana dotyczy zarówno czekających, jak i tych, którzy każą na siebie czekać.

Z jednej strony to uspokajające, kiedy człowiek wie, że jest zawsze osiągalny. Jak na przykład ja teraz.

Leżę sobie na sofie (uwielbiam swoją sofę, jest obciągnięta materiałem w zebnę i ma wielkość przytułku dla azylantów). Słucham sobie bardzo głośno Barry'ego White'a *„flever gonna give you up, never ever gonna stop. I like the way I feel about you. Girl I just can't live without you!”*. Jak się człowiek skupi na samym głosie i zapomni, że Barry White to nieprawdopodobnie obleśny grubas, to taka muzyka działa jak całkiem niezły seks.

Jednocześnie mam puszczonego telewizor bez głosu (niektóre prezenterki bardzo mi się bez głosu podobają).

Przeoglądam sobie stary numer „BRIGITTE” („Stracić na wadze, i taką pozostać:

Nam się udało! Cztery kobiety opowiadają o swoim sukcesie”).

Zajadam sobie Mini Dickmanny. „Pocałunki z czekoladowej pianki”. Uważam za idiotyzm, że nie wolno już dzisiaj używać ich dawnej nazwy „Murzyński Pocałunek”. „Raidery” nazywają się dzisiaj „Twixy”, Leningrad nazywa się Petersburg, a Karl-Marx-Stadt z powrotem Chemnitz. Kto się w tym wszystkim połapie? Czy w ogóle jest jeszcze coś takiego jak serbska zupa fasolowa?

I kiedy robię te wszystkie rzeczy, słuchawka mojego telefonu leży w zasięgu słuchu i ręki, na poduszce, tuż przy moim uchu. Mogłabym sobie nawet wyjść teraz po papierosy. Moja automatyczna sekretarka dzielnie trzymałaby straż. Z drugiej strony dostarczyłaby też bezlitosnego dowodu, że w czasie mojej nieobecności nikt nie próbował do mnie zadzwonić. To byłoby dość upokarzające. Dawniej można było

sobie przynajmniej wmawiać, że w tym czasie telefon dzwonił bez przerwy.

Poza tym, jest jeszcze jeden bardzo ważny punkt: kto powiedział, że osoba dzwoniąca, w tym przypadku doktor Hofmann, w ogóle zostawiłby jakąś wiadomość?

Będąc na jego miejscu sama dwa razy bym się przedtem zastanowiła. Oznaczałoby to przecież wypuszczenie z ręki za jednym zamachem wszystkich atutów. Wtedy z miejsca to on staje się czekającym. Musi żywić się nadzieją, że oddzwonię, nie wiedząc tak naprawdę, czy w ogóle jestem zainteresowana dalszym kontaktem. Cóż by to musiało być za wyrzeczenie z jego strony!

Wszystko to jest strasznie skomplikowane, kiedy nie do końca sprecyzowane są stanowiska każdej ze stron.

W każdym razie jeśli idzie o moje stanowisko, to było chyba dość wyraźnie sprecyzowane, skoro zostawiłam mu w gabinecie swój numer. I z każdą mijającą godziną, coraz mniej czułam się bohaterką. Gdzieś około północy poszłam do łóżka mając pewność, że się najzwyczajniej w świecie ośmieszylam i zrobiłam z siebie kompletną idiotkę.

Dopiero następnego przedpołudnia zadzwoniła do mnie Jo. Byłam właśnie w studio dokonywałam cudów, żeby fotograficznie wydobyć bodaj cień godności z laminowanego stolika podręcznego („Twój funkcjonalny pomocnik w domu i w biurze”). Jeśli idzie o moją godność, to nic już z niej nie zostało.

- Cora, wiesz, stało się coś bardzo dziwnego - W głosie Jo była jakaś niepewność, co było kompletnie do niej niepodobne.

- O co chodzi? - Naprawdę miałam w tym momencie dość własnych problemów. Gwałtowny spadek poczucia własnej wartości z towarzyszeniem błyskawicznie postępującego kurczenia się prawej nogi.

- Kiedy wczoraj wieczorem wróciłam do domu, miałam na sekretarce wiadomość.

Szczeniara. Ja nie miałam.

- Jakiś Daniel. Chce się ze mną umówić. Problem w tym, że ja faceta nie znam.

Że co?! Że jak?! Daniel?! Mój dr Hofmann?! Dzwoni do mojej najlepszej przyjaciółki?! Mało nie padłam, bo ziemia usunęła mi się spod nóg. Nieprawdopodobnie podstępny cios losu.

Staralam się nie stracić kontenansu. W końcu nie będę stawać Jo na drodze do szczęścia, to jasne. Kurde - kładę facetowi na biurku mój numer telefonu a on zamiast skorzystać, zadaje sobie trud zdobycia prywatnego numeru Jo, który jest zastrzeżony i nie da się go zdobyć w informacji.

W bardzo brzydki sposób przypomniało mi to czasy naszej młodości. Kto się zakochał w naszym nauczycielu od filozofii? Ja. A kto się przespał z naszym nauczycielem filozofii? Jo!

Jednak najgorsza sprawa była z Jorgiem. Kochałam się w nim bez pamięci. Miałam trzynaście lat, on siedemnaście i był tylko dwie klasy wyżej, bo dwa razy zostawał na drugi rok. Któregoś dnia do mnie zadzwonił - ojca na szczęście nie było akurat w domu - i zapytał, czy nie moglibyśmy się na chwilę spotkać. Poprułam na miejsce spotkania z radością myśląc o chwili, kiedy stracę z nim dziewictwo, a tymczasem co zrobił Jórg? Wręczył mi list z prośbą o przekazanie go Jo.

Dodatkowym upokorzeniem był dla mnie fakt, że Jo kompletnie nie interesowała się Jorgiem. Dlatego najdotkliwszą ujmą było to, że Jo mogła sobie pozwolić na odrzucenie chłopaka, którego ja nie mogłam mieć.

Jak widać nic się nie zmieniło. Jak ja sobie w ogóle mogłam wyobrazić, że facet, który zobaczył mnie u boku mojej fantastycznie pięknej, blond Johanny, mógłby pozostać nieczuły na jej wdzięki i zainteresować się moją osobą? Gorzka prawda. Katastrofa. Klęska na całej linii. Przegrałam nie tylko z Ute Koszłowski, przegrałam także z najlepszą przyjaciółką.

Czy kobieta jest w stanie przeżyć taką hańbę?

Chyba nie.

Robiłam wszystko, żeby się jakoś trzymać.

- Dzwonisz z domu? Tak? To weź mi odtwórz tę wiadomość - poprosiłam.

O, Jezu, jaka jestem beznadziejna. Jaka masochistyczna. Sama sypię sobie sól na rany. Ale nie chciałam przecież, żeby Jo zaczęła coś podejrzewać. Moja przyszłość właśnie rozpadła się w gruzy, teraz musiałam pokazać



swoją wielkość i sama włożyć moje strzaskane szczęście w dłonie najlepszej przyjaciółki.

- Poczekaj moment - Usłyszałam jak Jo przewija taśmę. - O, teraz, słuchaj.

- „Dzień dobry. Wybrałeś właściwy numer ale niewłaściwy moment. Zostaw wiadomość po sygnale. Piiiiip!”

- Ehm, eee, dobry wieczór. Mówi Daniel Hofmann. Bardzo chętnie poznałbym też pani lepsze strony. Jeśli naprawdę jakimiś pani dysponuje, bardzo proszę o telefon. Mój numer 320675.

Co?! Jak?! Lepsze strony?! To przecież ja mu...! Chyba jakoś...! Jak to możliwe?! Raaaaany!

- No i co, Cora? Jak myślisz, skąd facet wziął mój numer?

No właśnie, skąd? I jak to w ogóle możliwe...? Zaraz, zaraz... W tym momencie zrozumiałam i wydałam z siebie histeryczny wrzask radości.

- Czy ty jesteś przy zdrowych zmysłach? Cora! Możesz mi łaskawie wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi?

Kiedy po paru minutach najbardziej dziew- czyńskich wrzasków znowu byłam w stanie artykułować zdania w cywilizowany sposób, opowiedziałam Jo o wizycie u doktora Daniela Hofmanna. O moim upokorzeniu. O krótszej nodze. O moim bohaterskim czynie. I o tym, że z przejęcia zapisałam na recepcie jej numer, zamiast swojego.

Błąd do wybaczenia, tak mi się przynajmniej zdaje. W końcu sama do siebie nigdy nie dzwonię. A numer Jo wybieram co najmniej pięć razy dziennie i potrafiłabym go powtórzyć bez zajknięcia nawet mając bóle porodowe.

Yes! Yes! Yes! Zwycięstwo było moje! Ute Carmen Koszłowski, przygotuj się na najgorsze! Cora Hübsch właśnie wykonała pierwszy krok w stronę samorealizacji!

Umówiłam się na ten wieczór z Jo, żeby omówić dalszy sposób postępowania. Od tej chwili wszystko trzeba było jak najstaranniej zaplanować.

**18:17**

Jestem aktualnie w fazie ostrego i bolesnego zakochania. Za żadne skarby nie wolno mi się rozkleić.

Zakochanie to marketing. Jeśli już ktoś cię kocha, to możesz być taka, jaka jesteś. Ale do tego momentu musisz się trzymać określonych reguł gry, żeby zakwalifikować się do drugiej rundy.

A jedna z tych reguł brzmi jasno i wyraźnie: Po pierwszym seksie za nic nie wolno ci do niego zadzwonić. Za nic. Pod żadnym pozorem. I od tej reguły nie ma wyjątków.

Mężczyźni mają strukturę binarną. To ułatwia obchodzenie się z nimi. Pod warunkiem, że zachowasz jasność umysłu.

Ważne jest, żeby pamiętać o dwóch rzeczach:

a. dla mężczyzny pierwszy seks z nową kobietą jest jak prezent. Prezent od niej. Dlatego niektórzy mężczyźni mówią potem dziękuję.

b. z „a” wynika niedwuznacznie, że mężczyzna uważa, że teraz jego kolej. Rewanżuje się dzwoniąc, wysyłając róże albo zjawiając się bez uprzedzenia pod twoimi drzwiami. (Jezu! Mam nadzieję, że Danielowi nie przyjdzie do głowy złożyć mi niezapowiedzianą wizytę. Muszę się jakoś przygotować na taką ewentualność! Natychmiast napuścić wody do wanny i naładować depilator!).

Mężczyzna czuje się obrabowany z męskości, jeśli kobieta go ubiegnie. Te godziny czy dni, jakie upłyną między pierwszym seksem a następnym telefonem od niego, to jedyny czas, kiedy samiec jest panem sytuacji.

c. jako utrudnienie dochodzi tutaj: Po pierwszym seksie kobiety przeważnie dokładnie wiedzą, czego chcą. Wszystko albo nic. Mówiąc szczerze, kobiety wiedzą to już po pierwszym pocałunku. I czasem już nie potrafią odpuścić. Tymczasem dla faceta swoboda to wartość sama w sobie, samotny wilk to życiowy ideał mężczyzny. Dlatego potrzebują trochę więcej czasu, żeby się zdecydować.

Au! Zaraz wpół do siódmej! Niech to szlag, ile to jest „więcej czasu”? Zadzwoń do Big Jima. Tak naprawdę on nie nazywa się Jim. Nazywa się Burkhardt Matz. My z Jo nazywamy go Big Jim od chwili, kiedy się nam zwierzył - był wtedy nieszczęśliwie zakochany i miał już w sobie pół butelki pemodu - że jako dziecko na pracach ręcznych robił na szydełku kąpielówki dla swojej lalki „Big Jim”.

Big Jim jest pod wieloma względami mało typowym facetem. Na przykład bardzo lubi pisać listy. Jego listy to jedyne, które przechowuję. Są przepiękne. Wprawdzie w jego życiu niewiele się dzieje - od trzech lat jest bez pary i mniej więcej tak samo długo siedzi już nad pracą

magisterską - ale to, co się nie dzieje, Big Jim potrafi ubrać w najbardziej wzruszające słowa. Zakochuje się bardzo często i opowiada wtedy przez telefon różne takie urocze rzeczy: „Ach, Cora, powinnaś zobaczyć, z jaką gracją ona odrzuca włosy z karku”.

Albo: „Kiedy czyta, na jej czole między brwiami tworzy się malutka bruzdka. Wygląda wtedy tak poważnie, że mam ochotę lekko nią potrząsnąć, żeby sobie przypomniała, co to uśmiech”.

Czasem zadaję sobie pytanie, czy kiedykolwiek znajdzie się ktoś, kto tak samo uważnie i czule będzie przyglądał się mnie. Tak, żebym tego nie zauważyła. Czy jest gdzieś ktoś oczarowany sposobem, w jaki czasem przesuwam kostkami dłoni po szyi? Bo czasem tak robię. Na początku robiłam to świadomie, bo przeczytałam kiedyś, że można w ten sposób zapobiec tworzeniu się drugiego podbródka, ale teraz już tego nie kontroluję.

Czy jest ktoś, kto rozpływa się z zachwyty, widząc, jak w południe zjadam w naszej kantynie kluchy z sosem? Bo mam wrażenie, że muszę wtedy wyglądać na bardzo zadowoloną.

A może jest ktoś, kto zakochał się we mnie na odległość, słysząc jak się śmieję? Bo śmieję się dosyć głośno. A ponieważ i bez tego mam dość szerokie usta, w śmiechu robią się one jeszcze szersze i dzielą moją twarz na dwie odrębne części.

Łączy mnie z Big Jimem osobliwy związek. Nie jesteśmy w sobie zakochani, ale z drugiej strony nie bardzo lubimy, kiedy druga strona akurat się w kimś kocha. Boimy się wtedy, że zostaniemy sami. Bo bycie singlem nie

jest takie złe, pod warunkiem że ma się innych singli za przyjaciół i można sobie z nimi pogadać, ponarzekać albo się cieszyć. Każdy, kto opuści ten swojski krąg pozostających bez stałej pary, sprawia, że pozostali robią się nerwowi. Bo, w którymś momencie można zostać naprawdę samemu. A wtedy to już przestaje być zabawne.

**18:20**

- Matz, słucham.

- Słuchaj, Big Jim, jak długo każesz dziewczynom czekać?

- Że co? Cora? Gdzie jesteś? Co się dzieje? Co to za szum w słuchawce?

- Leżę w wannie, biorę właśnie relaksującą kąpiel i dopuszczam gorącej wody. Słuchaj, muszę znać prawdę. Kiedy masz seks z jakąś kobietą, jak długo czekasz, zanim potem do niej zadzwonisz?

- Jeśli kiedykolwiek zdarzyłoby mi się jeszcze mieć seks z kobietą, to jeszcze tej samej nocy poprosiłbym ją o rękę.

- Ale ja pytam na poważnie.

- Ładna? Blondynka? Pełne piersi?

- Przestań się wygłupiać?

- Okay, okay. Mmmm. No więc ostatnim razem, akurat dobrze to jeszcze pamiętam, to następnego dnia wieczorem zaniósłem jej bukiet róż. Poza tym miałem ze sobą kosz piknikowy, żeby ją spontanicznie wyciągnąć do parku.

- No i?

- Wiesz, mam wrażenie, że to było dla niej trochę za dużo, jak na jeden raz.

- Wyobrażam sobie. Pewnie robiła sobie akurat maseczkę.

- Co to, to nie, wprost przeciwnie. Wyglądała porywająco. Poza tym tak uroczo skubała sobie uszko, kiedy była czymś zdenerwowana. Odsuwała wtedy włosy z karku i...

- ... i co? Wyszło coś z tego pikniku, czy nie?

- Ani z pikniku ani w ogóle. Zbyła mnie od razu przy drzwiach wejściowych i powiedziała, że akurat ma gości. A słyszałem grający telewizor. No cóż, trudno. Nagrałem się jej jeszcze potem ze trzy razy na sekretarce, ale nigdy nie oddzwoniła.

- Bidulek. Z drugiej strony taka kobieta nie byłaby dla ciebie odpowiednia.

- Co ty tam wiesz. A jaka, twoim zdaniem, byłaby odpowiednia? Zresztą, dajmy sobie z tym spokój. Aha, czyli chcesz wiedzieć, jak długo masz jeszcze czekać?

- Tak. Znaczy, nie. Ja tylko tak czysto teoretycznie.

- No jasne.

- I jeszcze coś, Jim...

- Tak?

- Ten facet, znaczy ten teoretyczny facet, nie jest taki jak ty. Kapujesz, nie? To raczej taki typowy facet.

- Rozumiem. Czyli egocentryczny dupek, skupiony na karierze, zero empatii, taki, do którego kobiety lgną tabunami?

- Nnnno, mniej więcej.

- Może w tej sprawie niekoniecznie jestem właściwym doradcą. Ale poczekaj, są u mnie właśnie Klaus i Hannes, ty sobie dalej bierz relaksującą kąpiel a ja przedyskutuję z nimi całą sprawę. Nastaw faks, zaraz wyślemy ci sprawozdanie sporządzone przez dwóch, albo może nawet trzech doświadczonych facetów. Będziesz miała potem ochotę skoczyć z nami do baru?

- Wiesz, chyba nie bardzo, bo mam jeszcze coś do zrobienia. Ale jak mi się coś zmieni, to wiesz...

- Tak, tak, rozumiem. Zadzwoń, gdyby się okazało, że się nie zgłosił. - Big Jim chichocze w słuchawkę, a w tle słyszę toasty wznoszone przez jego podpitych kumpli.

- Ty idioto. Ja cierpię.

- Oczywiście. Jasna sprawa. Cierpisz, bo chcesz cierpieć. Jeśli nie możesz być nieszczęśliwa, nie jesteś szczęśliwa.



- Że co takiego? Co ty gadasz?

- Ach, nic takiego. Nieważne. Obiecuję, że jeśli kiedykolwiek będziemy mieli ze sobą seks, to zadzwonię zaraz następnego dnia. Zostań taka, jaka jesteś.

- Ale ja nie chcę zostać taka, jaka jestem!

- No właśnie.

Odłożył słuchawkę. Debil jeden. Znowu typowe dla facetów. Oni po prostu nie potrafią pojąć wielopoziomowej struktury kobiecego charakteru. Nawet taki Big Jim. Umiem zastanowić się nad sobą i nie zamykam oczu na problemy. Już teraz uchodzę za humorzystą kozę.

Tak, Sasza na przykład. On zawsze spóźniał się na spotkania co najmniej pół godziny. Kiedy któregoś razu, jak mi się zdawało po przyjacielsku, ale dość konkretnie go o to zapytałam, stwierdził od razu, że niepotrzebnie robię z tego taki problem.

Co to znaczy „niepotrzebnie robię problem”? To jest problem, jak się od 20 do 20.45 łązi po mieszkaniu w samym pasie od pończoch a szampan w kieliszkach stopniowo traci bąbelki i zaczyna wyglądać jak przygotowany do analizy mocz. Wtedy nie ma już żadnej frajdy! Chyba można dać wówczas do zrozumienia?

Kurcze, znowu się niepotrzebnie przejmuję. Do diabła z relaksującą kąpielą. Zresztą i tak już za długo siedzę w tej wannie i skóra tak mi się pomarszczyła, jak za dwadzieścia lat bez moczenia w wodzie.

Następnym razem nic już nie pozostawię przypadkowi. Przez dwa dni trzymałam doktora Hofmanna w niepewności - to znaczy, miałam taką nadzieję, że przez ten czas będzie odczuwał niepewność - i dopiero wtedy zadzwoniłam. Czas akcji wybrałam ze strategiczną precyzją: czwartek, godzina 20.18.

Taka pora, sprawa, moim zdaniem, następujące wrażenie:

1.Cora Hübsch jest kobietą interesującą się polityką i tym, co dzieje się na świecie. Aktualna wiedza o wydarzeniach to jej konik. Jest zawsze na bieżąco i z pewnością ma ciekawe poglądy na temat waluty euro oraz jej wpływu na wspólnotę państw członkowskich.

Jednym słowem nic nie jest w stanie odwieść Cory Hübsch od oglądania „Wiadomości” o godzinie 20.00. Prawdopodobnie między 20.00 a 20.15 w ogóle nie odbiera telefonów.

2.Cora Hübsch nie jest zainteresowana banalnym spędzaniem czasu i powierzchowną rozrywką. Wieczory, jeśli w ogóle zdarzy jej się być w domu, spędza na intensywnym zgłębianiu ambitnej literatury.

*Na linii ognia z Clintem Eastwoodem, Aniołki Charlyego, Moja córka jest synem mojej zmarłej matki* na SAT1 - tania rozrywka bez Cory Hübsch. Pewnie nie ma nawet gazety telewizyjnej z programem.

3.Cora Hübsch jest kobietą niezależną. Dzwoni we czwartek. Inne kobiety obawiałyby się, że będzie to wyglądało tak, jakby nie miały jeszcze nic na weekend. Cora Hübsch najprawdopodobniej weekend ma wypełniony. A

jeśli nie, to kobiecie o takim stopniu samoświadomości, jak ona, jest to obojętne.

O godzinie 20.18 byłam perfekcyjnie przygotowana. Zadbłam nawet o odpowiednie tło dźwiękowe. Jo zaproponowała nową płytę Van Morrisona, bo podobno prawie wszyscy faceci bez wyjątku lubią Van Morrisona. „On śpiewa tak, jak my czujemy”, powiedział Jo jeden z byłych przyjaciół. „Co ty powiesz, a ja myślała, że Van Morrison uprawia muzykę ambitną?” - odpowiedziała na to szczerze zdziwiona.

Zdecydowałam, że nie będzie Van Morrisona, tylko radio z programem kulturalnym. W końcu miałam nie tylko zrobić wrażenie na osobie z tytułem, ale jednocześnie przegnać z placu boju tę rudą szlampę. Ute Koszłowski może sobie być piękna. Może sobie nosić rozmiar 38. Może sobie grać tyle przełożonych pielęgniarek w RTL-u ile jej się podoba!

Ja zdobędę doktora nadzwyczajnego medycyny, Daniela Hofmanna intelektem.

Godzina 20.18. W radiu leciała akurat pogadanka na temat „Poezja Henryka Heinego”.

Przyszedeł mój czas.

- Hofmann, słucham?

- Halo? Mówi Cora Hübsch.

- O, to ładnie.

No nieee. Bez przesady. Ten dowcip słyszałam już w życiu o parę razy za często\*<sup>1</sup>.

- Ten dowcip zdarzało mi się już parę razy w życiu usłyszeć - powiedziałam. Cool.

- Wie pani. Samo się narzuca. Czy tej muzyki to pani słucha dobrowolnie?

Że co? Że jak? A niech to diabli. Skąd mogłam wiedzieć, że w paśmie kulturalnym radio przerywa ambitne audycje literackie pieśniami protestacyjnymi kurdyjskich bojowników?

- Oh, nie, nie. To tylko radio. Zaraz ściszę. A co tam u pana? Co pan teraz robi? - wszystko to sobie wcześniej przygotowałam.

Zainteresowane. Osobiste. Swobodne.

- A właśnie oglądam *Na linii ognia*. Doskonały film. Z Clintem Eastwoodem. Widziała pani?

O, o.

- Nie. W zasadzie rzadko oglądam telewizję.

Wyższość. Intelktualizm. Luz.

- Ach tak? Ja uwielbiam telewizję. Nawet jem przy telewizorze.

O, o.

---

<sup>1</sup> Gra słów: nazwisko „Hübsch” znaczy zarazem „ładna”.

Dokładnie jak ja, ale nie mogę teraz zmienić kursu.

- To niezdrowe. Należy zawsze wykonywać tylko jedną czynność i na niej się skoncentrować. Face your food - nauczyłam się tej zasady od pewnego hinduskiego mędrca.

Obycie. Wyższość. Mądrość. Orientacja międzynarodowa.

- Tak, tak, wiem. Ostatnim razem, kiedy chciałem się skoncentrować na jedzeniu, ktoś mnie przewrócił i podeptał.

Co tu odpowiedzieć?! Wielki Boże! Jeszcze trzy minuty temu byłam znaną z ciętych ripost osobą! Gdzie mój temperament! Gdzie moja fantazja? Gdzie mój zasób słów?

- Wiem i bardzo chciałabym się jakoś zrewanżować. Czy dałby się pan kiedyś zaprosić na kolację? Obiecuję oczywiście, że ten wieczór zakończy się dla pana bez obrażeń.

Hurrra! To było dobre. Humor. Autoironia.

- Chętnie. Kiedy dysponuje pani czasem?

Nadeszła decydująca chwila. Kiedy dysponuję czasem? Oczywiście dawno już wszystko przemyślałam. Dzisiaj czwartek. Weekend jest oczywiście tabu. Najchętniej zaproponowałabym mu następną środę. To dobry dzień. Zabawny, wyemancypowany termin. Usłyszałam swój głos:

- To może jutro wieczorem?

Czy to naprawdę ja powiedziałam? Co mnie, cholera, podkusiło? Moje słowa zawisły groźnym ciężarem w powietrzu.

- Przykro mi, ale w weekend to niemożliwe. A co by pani powiedziała na środę w przyszłym tygodniu?

Shit. Shit. Shit.

- Środa? Chwileczkę - obiecująco zaszeleściłam kartkami gazety z programem. - Środa wchodziłaby ewentualnie w grę. Ale dopiero powiedzmy około dziewiątej.

Doskonale. Eleganckim manewrem udało mi się odzyskać godność.

- W porządku. A dokąd mnie pani zabierze?

Na to pytanie oczywiście też byłam od dawna przygotowana.

- Zarezerwuję dla nas stolik w „Uno”. Zna pan ten lokal?

Pomyślałam, że włoska restauracja dla wyższej klasy średniej musi zadziałać. Byłam tam raz z Jo. Swobodne towarzystwo. Doskonała kuchnia. I kelnerzy, których arogancja od razu zdradza, że jesteśmy w najmodniejszej aktualnie restauracji.

- Znam. A więc o dziewiątej?

- O dziewiątej.

- Świetnie. Bardzo jestem ciekaw tych pani lepszych stron.

- Ja też. A więc do środy.

Odłożyłam słuchawkę i wiedziałam, że mam przed sobą bardzo ciężki tydzień.

**18:23**

O, Boże Wszechmogący! Ależ ból! I co to za głupie gadanie, że faceci powinni być szczęśliwi, że nie mają miesiączki i nie rodzą dzieci.

Faceci powinni być szczęśliwi, że nie muszą sobie depilować nóg! Ja nie wydałam jeszcze na świat dziecka, ale jestem pewna, że po czymś takim zrobię to z palcem w nosie. W końcu co cztery tygodnie wytrzymuję pełną depilację nóg!

Brrrrr. Co za ból! Pojęcie przechodzi. Sam przyrząd wygląda niewinnie i ma wielkość tabliczki czekolady Ritter-Sport.

Kupiłam go jakiś rok temu. Sprzedawca pokazał mi całą gamę depilatorów. Miał przyklejony tupecik i w ogóle sprawiał wrażenie jakiegoś zahamowanego.

- Ten depilator - powiedział podnosząc do góry pudełko w kolorze opakowania tamponów OB - to zupełna nowość na rynku. Nadaje się nie

tylko do depilacji owłosienia nóg. Można nim także depilować pachy oraz okolice bikini.

Mówiąc te słowa zrobił się taki czerwony na twarzy, jakby powiedział coś nieprzyzwoitego.

Okolice bikini? Co on ściemnia? Czyżby u jego żony okolice bikini sięgały do kolan?

- Ten nowoczesny przyrząd wyposażony jest w system Super-Silk. Dzięki temu nie powoduje żadnych nieprzyjemnych odczuć i nadaje się też, eee, do depilowania, eee, także wrażliwszych partii skóry.

Boże, co za biedak. Wił się zupełnie tak, jakbym wymagała od niego, żeby zareklamował mi zalety pokrytego ówiekami sztucznego penisa. Kupiłam ten depilator z systemem Super-Silk, sześć tygodni prawa zwrotu, zostawiając za ladą zawstydzonego właściciela tupecika.

W domu najpierw przestudiowałam uważnie instrukcję obsługi. Normalnie tego nie robię, wskutek czego do dzisiaj nie potrafię nic nagrać na moim wideo. Nie znam zresztą nikogo, kto by to potrafił. Tym razem jednak, ponieważ chodziło o moje ciało, moje włosy, moją urodę, poświęciłam na to dużo czasu.

„Podczas depilacji system Super-Silk odpręża twoją skórę poprzez delikatny masaż. Dzięki temu zmniejsza się uczucie szarpania (Rys. 1), co sprawia, że sam proces depilacji jest prawie nieodczuwalny. Po pierwszym



użyciu przyrządu możesz odczuwać lekki dyskomfort, ponieważ włoski usuwane są przy samej cebulce. Po kilku użyciach nieprzyjemne wrażenie mija”.

Jeśli instrukcje obsługi magnetowidów są pisane równie nierzetelnie, to nic dziwnego, że nie znam nikogo, kto potrafi coś nagrać na swoim wideo.

„Lekki dyskomfort” - koń by się uśmieł. To tak, jakby ktoś powiedział, że usunięcie wyrostka bez narkozy tylko trochę szczypie. Niemniej jednak pierwszą depilację odebrałam jako coś w rodzaju przekroczenia progu dorosłości. Podobnie jak tego dnia, kiedy po raz pierwszy zamówiłam do swojego mieszkania sprzątaczkę.

Jest parę takich tajnych rytuałów inicjacyjnych dorastającej kobiety: pierwsza miesiączka, pierwszy stosunek, pierwsze zwrócenie kelnerowi uwagi na złą jakość dania w restauracji . Wynajęcie pierwszej sprzątaczkii. Pierwszy debet na koncie. Depilacja nóg. Poród. Przespanie się z facetem młodszym o piętnaście lat. Przespanie się z dwoma facetami młodszymi o piętnaście lat jednocześnie. Rozwód.

Ale przysięgam na wszystkie świętości: żaden rozwód nie może być tak bolesny jak gruntowna depilacja. Nawet rozwód z systemem Super-Silk.

## **18:28**

Powitana z radością przerwa w depilacji. W gabinecie słyhać terkotanie faksu. Ciekawe co tam wymyślił Big Jim ze swoimi kumplami na temat mojego problemu.

Faks wypadł zapisaną mało czytelnym pismem kartkę. Ciekawe skąd się to bierze, że żaden ze znanych mi facetów nie ma porządnego charakteru pisma? Większość z nich, już w obrębie jednego słowa, nie potrafi się zdecydować, czy będzie je zapisywać pismem odręcznym czy literami drukowanymi. Do tego dochodzi jeszcze fakt, że treść męskich listów jest przeważnie niedorozwinięta.

Przez całe życie dostałam od facetów trzy ręcznie pisane fakсы. Dwóch nie udało mi się odcyfrować. W trzecim było napisane: „Cześć, Cora! Zapomniałem euroczeków. Są w mojej czarnej marynarce. Proszę o wysłanie na powyższy adres”.

Było to nie tylko obraźliwie mało osobiste, ale też mało przejrzyste gramatycznie. W związku z tym wysłałam mu czarną marynarke, opróżniwszy wcześniej jej kieszenie.

A oto, co napisał mój przyjaciel Big Jim:

„Witaj najdroższa Coruniu!

Długo dyskutowaliśmy nad postawioną przez Ciebie kwestią. Oto ostateczna i definitywna odpowiedź:

Normalnie jest tak, że mężczyzna dzwoni do kobiety, z którą po raz pierwszy uprawiał seks, po trzech dniach. Z reguły wieczorem. Jeśli zadzwoni wcześniej, to znaczy że albo jest mięczakiem albo niedorobionym homoseksualistą, który szuka namiastki własnej matki.

Mężczyzna dzwoni najpóźniej w następujący po dniu stosunku weekend. Jeśli kontakt intymny miał miejsce w piątek, sobotą lub niedzielę, może poczekać nawet do następnego piątku lub soboty.

Jeśli między uprawianiem seksu a brakiem telefonu:

a. był weekend

albo

b. minęły trzy dni robocze

to możesz:

a. zapomnieć o wszystkim i zacząć szukać kogoś nowego

albo

b. zadzwonić do niego.

Jeśli do niego zadzwonisz, możesz to zrobić w dwojakim celu:

1. Spróbować go jednak mimo wszystko zdobyć. Szanse powodzenia oscylują wokół 0,5%. On będzie ci ściemniał na temat wypełnionego kalendarza zajęć i powie, że przez najbliższe trzy i pół roku raczej nie uda mu się wykroić czasu. Daj więc sobie spokój, szkoda się wysilać, bo będziesz się potem czuć obrzydliwie. I tak wprawdzie czujesz się obrzydliwie, ale tu chodzi o niuanse.

2. Dzwonisz do niego, żeby mu powiedzieć, jaki z niego podły dupek, bo chcesz wyładować na nim gniew. Szanse powodzenia oscylują tutaj wokół 98%. Pozbędziesz się frustracji i odciążysz przyjaciół, którzy nie będą musieli wysłuchiwać przez następne osiem tygodni opowieści w rodzaju: „Gdybym mu tak wtedy od razu powiedziała...”. Facet będzie się przez chwilę czuł nie w porządku. Co najmniej przez trzy minuty, co najwyżej przez cztery.

I to tyle, skarbie. Życzymy ci miłego czekania. Jesteśmy w domu mniej więcej do 23.45, potem ruszamy w tango. Dobra rada: zabierz się z nami! Wtedy czas upłynie ci w mgnieniu oka!

Znasz w ogóle mojego kumpla Klausa? Jeśli nie, najwyższy czas, żebyś poznała! Odrabialiśmy razem woja w domu starców. Klaus serdecznie Cię pozdrawia i prosi, żeby powtórzyć, że bardzo chętnie pozna dziewczynę, która potrafi się tak przejmować leżąc w relaksującej kąpieli.

Good luck, girl!

Twój Big Jim.

PS

Dodam tylko, że Klaus jest sześć tygodni po rozstaniu i bardzo potrzebujący. Myślę, że miałabyś u niego szansę”.

**18:31**

Co za bezczelność. Zupełnie jakbym miała szanse tylko u potrzebujących. W końcu czekam na telefon nie od byle kogo, tylko od lekarza. Policzylam. Trzy dni? Seks mieliśmy we środę. Jeśli on się dzisiaj nie zgłosi, to znaczy, że przegrałam.

**18:32**

Robię się strasznie nerwowa. I jestem przygnębiona. Dokończę depilację, żeby bólem zewnętrznym odwrócić uwagę od bólu wewnętrznego.

**18:34**

Telefon!

**18:35**

To tylko Teresa. Moja sprzątaczką. Chciała mi powiedzieć, że zaszła w ciążę i wraca do Polski. Klucz od mieszkania wrzuci mi jutro do skrzynki na listy.

Ciekawe czy uda mi się go wyciągnąć moją chochlą oklejoną dwustronnie klejącą taśmą. Jaki ten świat niesprawiedliwy. Ja też chcę zajść w ciążę. Ale nie chcę jechać do Polski.

I znowu przypomniał mi się Sasza. W końcu przez te piętnaście miesięcy, kiedy ze sobą byliśmy, co najmniej trzy razy myślałam, że jestem w ciąży. Dobrze pamiętam swoją panikę, jak i to, że dzięki regularnemu nabywaniu testów ciążowych, kremów peelingujących i relaksujących soli do kąpieli prawie zaprzyjaźniłam się ze swoją aptekarką.

W czasie, kiedy byłam z Saszą, poznałam parę ciekawych i - jak się obawiam - absolutnie typowych męskich cech. Sasza bowiem, chociaż taki nadzwyczajnie mądry, pod wieloma istotnymi względami jest typowym facetem.

Na przykład jest tak - i założę się, że tę obserwację spokojnie można uogólnić - że Sasza nigdy się nie śpieszy. Ja śmigam jak zajęć dla ratowania życia, kiedy przechodzę przez polną drogę i zobaczę pięć kilometrów dalej

jadący traktor. Bardzo dużo czasu zabiera mi decyzja, w którym momencie przejść przez ulicę.

A przed każdym manewrem wyprzedzania na wiejskiej drodze najchętniej chlapnęłabym sobie coś na odwagę.

Sasza natomiast potrafił człapać z prowokującym spokojem duszy przez zatłoczoną, czteropasmową wy- lotówkę. Wydaje mi się, że faceci woleliby dać się przejechać, spóźnić na autobus, patrzeć z daleka, jak { odholowują im samochód, niż zniżyć się do tego, żeby w niegodny sposób chociaż odrobinę przyspieszyć kroku. To bardzo osobliwa cecha.

Druga rzecz, o której warto wspomnieć, to to, że w obecności swoich kumpli Maksa i Friedhelma, Sasza mutował w nieokrzesanego twar- dziela. Tak już jest, że facet między swoimi zmienia się w samca. A wtedy nie bardzo mu odpowiada, żeby przyjaciółka przypominała mu, że jeszcze wczoraj był jej przytulanką, leżał na kanapie, pozwalał łaskotać się po brzuchu i nazywać „misiaczkiem”, że po raz trzeci oglądał na wi- deo „Babe - świnka z klasą” i po raz trzeci coś mu wpadło do oka do- kładnie w tym momencie, kiedy świnka jest chora i jej właściciel tańczy dla niej w pokoju.

Muszę powiedzieć, że mnie się to podoba. To takie urocze. Kobieta bywa jedynym świadkiem takich wzruszających cech mężczyzny i może wystąpić potem z groźbą: „Jak nie obejrzysz ze mną dzisiaj *Kiedy Harry spotkał Sally*, to powiem twojemu najlepszemu kumplowi, że mówisz do mnie «pisiuniu»”.

Na pierwszą randkę z doktorem medycyny Danielem Hofmannem byłam perfekcyjnie przygotowana. Weszłam do restauracji jakbym była samą Madonną, która jest właśnie umówiona na wywiad z dziennikarzem „Vanity Fair”.

Niestety dr Hofmanna jeszcze nie było, tak że nie miał możliwości podziwiać mojego wejścia. Niech to szlag! A przecież specjalnie przyszedłam całe dziesięć minut później! Cóż, raczej marne szanse, żebym mogła czekać na niego w długim do ziemi płaszczu z lakierowanej skóry, który miał wzbudzić jego ciekawość. Tęsknie patrzyłam, kiedy kelner wynosił go do szatni.

Poprosiłam o dyskretny stolik przy jednym z okien w końcu sali. A dostałam mały stoliczek z przodu, przy samym wejściu. Taki, przy którym dostaje się gęziej skórki na łydkach, gdy tylko otworzą się drzwi. Taki właśnie jest personel w modnych lokalach. Jeśli nie znają twojego nazwiska z gazet, to traktują cię jak komiwojażera, który przyszedł sprzedawać zapalniczki z Tajwanu.

Właśnie zamierzałam usiąść skwaszona, kiedy wszedł doktor Hofmann. Zanim się ze mną przywitał, przywitał się z właścicielem restauracji.

- Salvatore! Come'sta?

- Bene, bene. Gracie, Dottore! Pana stolik wolna!

- Dziękuję. Jestem już umówiony. Z tą oto damą.

Z tymi słowami skinął głową w moją stronę. Salvatore podszedł do mnie pośpiesznie. Starłam się wyglądać jak najbardziej obojętnie.



- Signora! Przepraszam! Czemu nie powiedziała? Proszę, prego, prego.  
Zaprasza do tamta stolik!

I zaprowadził nas do dyskretnego stolika przy jednym z okien w końcu sali. Strzepnął serwetką nieistniejący kurz z obrusa, zgrabnie zdejmując przy okazji tabliczkę z napisem: „Zarezerwowane”.

- Grazie, Salvatore - powiedziałam protekcyjnie. Musiałam przecież zachować twarz.

Dr Hofmann wyglądał oszłamiająco. Ja też wyglądałam oszłamiająco. Przez ostatnie dni praktycznie nic nie jadłam. A to z dwóch powodów:

1. W ten najważniejszy z wieczorów chciałam być głodna. Jeśli już czeokolwiek się w życiu nauczyłam, to jednego, mianowicie, że faceci lubią kobiety, które nie krygują się przy jedzeniu. Świadczy to o zmysłowości i smakoszostwie. Oczywiście ważne jest, żeby kobieta, mimo że lubi jeść, była przy okazji szczupła. Inaczej sprawia wrażenie niezdyscyplinowanej.

2. Chciałam wystąpić w mojej wąskiej czarnej sukni. A w czymś takim naprawdę widać każdą fałdkę. Kiedy po raz ostatni miałam ją na jakiejś firmowej imprezie, co najmniej cztery koleżanki spytały mnie ostrożnie, czy jestem „w odmiennym stanie”. Nawet szef nabrał jakichś podejrzeń i następnego dnia wezwał mnie do siebie, żebym mu powiedziała, ale tak szczerze, jak długo zamierzam być na macierzyńskim. Nie chciałam drugi raz przeżyć takiego upokorzenia.

Brzuch miałam wspaniale płaski. A dzięki porządnej porcji maloxanu przestało mi też w nim burczeć. Oczywiście przyodziałam też na tę okazję biust. No i założyłam wyszczuplające rajstopy „Wonder Po, sexy lifting”. Big Jim twierdził zawsze z uznaniem: „dupcię masz w nich seksowną jak u czekoladki”.

Tak, naprawdę byłam dobrze przygotowana. Miałam nawet dyskretnie ukryty w torebce plik fiszek, na których zapisałam sobie wszelkie możliwe tematy konwersacji. Gdyby nagle zapadła niezręczna cisza, zawsze mogłam niepostrzeżenie udać, że szukam w torebce szminki, i rzucić nowy temat:

„Najnowsza sztuka teatralna, o której się mówi”

„Całkiem przystępny artykuł z wczoraj na temat konferencji ministrów spraw zagranicznych”.

„Reforma służby zdrowia”.

„Pomoc chorym w hospicjach”.

Albo takie bardziej ze sfery osobistej:

„Relacje między rodzeństwem”

„Lekarz między człowiekiem a maszyną”.

Oczywiście do wszystkich tych tematów przygotowałam sobie z pomocą Big Jima interesujące wypowiedzi. Jim stwierdził jednak na koniec, że powinnam po prostu być taka, jak zawsze. Dobrze sobie. Na jakim świecie on żyje?

Byłam dokładnie taka, jak zawsze. Mam taką głupią cechę, że nie tylko nie udaje mi się zastosować wszystkich przygotowanych wcześniej sposobów, ale jeszcze zawsze się od razu wygadam.

Po dziesięciu minutach zdradziłam doktorowi Hofmannowi moją taktykę przygotowaną na to spotkanie oraz dietę, jakiej poddawałam się od paru dni, a w końcu wyłożyłam na stół wszystkie fiszki z torebki.

Po dwudziestu minutach zaproponował, żebyśmy przeszli na „ty”, po czterdziestu pięciu minutach zapytał, czy chodziłam już kiedyś na jakąś terapię, a po godzinie wiedzieliśmy już o sobie, co następuje:

- oboje mamy problemy z powodu dominacji ojca
- oboje uwielbiamy reklamy i mnóstwo sloganów znamy na pamięć.

Zaśpiewałam mu mojego ulubionego spota: „I like those Crunchips gold'n brown. Spicy and tasty and crispy in sound. Uuuuah! Crunchips! Crunczuj z nami!” (oczywiście kiedy się to słyszy, robi o wiele większe wrażenie).

Daniel odpowiedział genialnym dialogiem: „Słuchaj, czy taka wysportowana dziewczyna jak ty jada w ogóle czekoladę? No pewnie. Ale musi być lekka. Tak jak Yogurette.”

A, co mi tam! Wzięłam korek od wina, zamknęłam go w dłoni i powiedziałam przemądrzałym tonem: „OB wchłania wilgoć w miejscu jej powstawania. Wewnątrz ciała”.

A Daniel na to: - „Zaprojektowany, by cieszyć”.

- oboje uważamy, że koniecznie trzeba włączyć telewizor, kiedy ma się pojawić Charles Bronson, Burt Reynolds, Chuck Norris, Hulk Hogan i paru innych - oboje jesteśmy zdania, że Isabelle Adjani zawsze wygląda tak, jakby zaraz miała z wymiotować

- oboje uważamy, że sardele, kapary i brukselka smakują dokładnie tak, jak Isabelle Adjani wygląda

- oboje lubimy nocne seanse w kinie

- oboje nie cierpimy ludzi, którzy rzucają hasłami w rodzaju:

„Jak się da, to się zrobi”.

„Rybka lubi pływać”.

„No to płacę i płacę”

„Żegnalski jestem”.

To był wspaniały wieczór. Dużo picia. Dużo śmiechu. Muszę przyznać, że jak na lekarza, Daniel wykazał się zdumiewającym poczuciem humoru.

Lekarze, których dotąd znałam, zawsze byli przerażająco jednowymiarowi. Bez końca gędzili o swoich zawodowych sprawach: a to skaza wysiękowa (Dermatolog. Nie polecam tym, które chcą z apetytem dojeść kolację), drobnokomórkowy rak oskrzeli (Onkolog. Nie polecam palaczkom) albo rozdwojenie jązni (Psychiatra. Generalnie nie polecam).

Daniel opowiadał bardzo wesołe historyjki ze swego ciężkiego dzieciństwa. W zasadzie było ono ciężkie głównie dla jego rodziców. Daniel mianowicie nigdy nie miał ochoty odrabiać lekcji. To jest jeszcze całkiem normalne. Ale kiedy po raz ósmy stał przed nauczycielką z pustym zeszytem, wymyślił sobie niezwykłą wymówkę. Zalał się łzami i powiedział swojej pani, że kilka tygodni temu zmarł mu ojciec, wskutek czego jest kompletnie wytracony z równowagi i ma nadzieję, że znajdzie u niej zrozumienie dla swojej trudnej sytuacji.

Przez dwa miesiące nauczycielka dawała mu spokój. Czyli do następnego zebrania dla rodziców. Pan Hofmann, zdrów jak rydz, akurat pierwszy raz w życiu na zebraniu, nie posiadał się ze zdumienia, kiedy wychowawczyni przywitała się najpierw z jego żoną, a potem zwróciła się do niego z pytaniem: „A pan? Jest pan nowym partnerem pani Hofmann?”.

Doszliśmy do dolnego brzegu nalepki na drugiej butelce wina. Najwyższy czas skierować rozmowę na erotyczne tory. Z doświadczenia wiedziałam, że rozpatrywanie tematów erotycznych wpływa erotyzująco na oboje rozmówców.

Właśnie zamierzałam zaserwować jakąś zabawną anegdotkę ze swojego życia intymnego, kiedy Daniel spojrzął na zegarek. Bardzo drogi zegarek. Niemniej jednak był to zły znak! Czyżbym go znudziła? Ojezujezujezu! Posunęłam się za daleko?

Może nie powinnam mu opowiadać o moim nawracającym sennym koszmarze? (Przechodzę obok budowy i żaden z robotników za mną nie gwizdże.) Może nie powinnam wspominać o moim zaburzonym stosunku do

porządku? (Wiem, że mam trzy kompaktki Joni Mitchell, ale nie mam pojęcia, gdzie leżą. Wiem, że mam polisę ubezpieczeniową, ale nie mam pojęcia, gdzie jej szukać.)

- Niestety, muszę się powoli zbierać. Z samego rana wyjeżdżam na kongres.

Jeśli nie była to zwykła wymówka, to na pewno jak najbardziej uzasadniony powód.

- Wielkie dzięki za wspaniały wieczór - powiedziałam dając jednocześnie znak kelnerowi, żeby przyniósł rachunek. Mądra kobieta musi wiedzieć, kiedy pogodzić się z faktami.

Daniel absolutnie nie zgodził się, żebym to ja płaciła. W zasadzie chciałam to zrobić jako rekompensatę za wszystko, co narobiłam. Ale w sumie wolałam, że tak się stało. Lubię, kiedy mężczyzna płaci. To takie męskie. Pod tym względem jestem konserwatywna. Pamiętam, że parę lat temu byłam na kolacji z fantastycznie przystojnym facetem, który na koniec poprosił kelnera o kartkę i długopis, żeby dokładnie wyliczyć, za co każde z nas ma płacić. Do tamtej chwili rozważałam jeszcze możliwość pójścia z nim do łóżka. Ale pewnie musiałabym się dzielić z nim kosztami taksówki do mnie.

Staliśmy na ulicy czekając na taksówki zamówione przez Salvatore. Jechaliśmy bowiem w przeciwne strony.

I co teraz? Pocałunek? Uścisk dłoni? Do widzenia. I to wszystko?

- Słuchaj, wracam w niedzielę. Może miałabyś ochotę wpaść do mnie w poniedziałek wieczorem? - spytał Daniel.

T aaaaaaaaaaaaaaaaaaak!

Najważniejsze to zachować twarz. Na początek nic nie powiedziałam.

- Zupełnie nieźle gotuję, no a poza tym - i to powinno cię przekonać - mam na wideo wszystkie filmy z panną Marple.

Juhuuuuuuu! Jesteśmy dla siebie przeznaczeni.

Odgrywałam wielką divę. Uśmiechałam się łagodnie. Nic nie mówiłam. To bardzo ważne, żeby nie odpowiadać automatycznie tylko dlatego, że ktoś nas o coś zapytał. Dotarło to do mnie, kiedy zobaczyłam Melanie Griffith w filmie *Światło w mroku*.

Melanie gra tam amerykańskiego szpiega w domu nazistowskiego oficera. W którymś momencie on mówi do niej: „Wiem, kim pani jest”. A ona milczy. Nie wyrywa się nadgorliwie z żadnym „Wszystko panu zaraz wyjaśnię” albo „Amerykanie mnie do tego zmusili”. Milczy. Więc on mówi dalej: „Wiem, że przysłał panią Hitler, żeby pani sprawdziła, czy jestem szczerym nazistą”.

Uffff. Melanie czuje oczywiście wielką ulgę, że nie wyrwała się od razu i niepotrzebnie nie wygadała.

Od tej pory zawsze tak robiłam. No nie, oczywiście nie zawsze. W zasadzie nawet rzadko. Najczęściej jednak coś mówię. Ale czasem jednak nie. Milczałam. Uśmiechałam się.

- Tu jest mój adres. - Daniel zapisał adres na rachunku. Co mnie znowu bardzo ucieszyło, bo był to widomy znak, że nie zamierza mnie odpisać od podatku.

- To co? Poniedziałek o ósmej?

Wypełniało mnie poczucie zwycięstwa. Jak wysoko urodzona księżniczka musnęłam go ustami w policzek i spytałam bezczelnie:

- A tak w ogóle to jesteś do wzięcia?

Tego wieczora przezornie omijaliśmy temat związków partnerskich w ogólności, a Uty Koszłowski w szczególności.

- W jakim sensie?

Głupek. Od razu podciął mi skrzydła.

- W ogólnym.

- Ach, byłbym zapomniiał - Daniel pogrzebał w wewnętrznej kieszeni marynarki - Chciałem ci to dać.

Wcisnął mi coś do ręki, odwrócił się i poszedł w stronę taksówki, która właśnie nadjechała - To na razie. Widzimy się w poniedziałek o ósmej - powiedział, wszedł do taksówki i zniknął.

Stałam sama na ulicy, ze wzruszeniem patrząc na niewielki stosik fiszek w mojej dłoni, na których dr med. Daniel Hofmann zanotował sobie ewentualne tematy do konwersacji na ten nasz pierwszy wspólny wieczór.

Poniedziałek. O ósmej.



Byłam najszcześniejszą osobą pod słońcem.

**18:42**

Wydaje mi się, że jestem najnieszczęśliwszą osobą pod słońcem. Właśnie wcisnęłam się na mój mikroskopijny balkon, który o tej porze roku dokładnie między 18.40 a 18.52 zalany jest blaskiem zachodzącego słońca. Lecz jego promienie nie są w stanie ogrzać mojego wstrząsanego dreszczem serca.

Uhhh! Szczupłe długonogie dziewczyny z uśmiechem płyną ulicą na spotkanie z chłopakami w białych T-shirtach, którzy przy kolacji na czas jedzenia przyklejają sobie gumę do żucia do grzbietu dłoni.

Nie nawidzę lata. Wiosny zresztą też.

Jesienią i zimą jest rzeczą normalną, że człowiek jest samotny i przygnębiony. Nikt nie robi nikomu z tego powodu wyrzutów. Ale latem? Wtedy trzeba być radosnym i mieć opalone nogi. Z przejeżdżających kabrioletów wylewają się na przechodniów dźwięki remiksów Modem Talking albo uciążliwe kawałki z Single Hit Collection Phila Collinsa.

To mi przypomina o pewnym ciekawym fenomenie: mianowicie, jak zmieniają się zwyczaje kierowców w zależności od pory roku.

Kiedy na dworze jest zimno, faceci duszą gaz do dechy i gnają po ulicach z wyjątkimi silnikami. Dziewięćdziesiąt na godzinę po ulicy. Moja ulica na przykład ma jeszcze kostkę zamiast asfaltu, i jak przejeżdża taka niżej zawieszona bryka, to mam wrażenie, jakby to jakiś oddział specjalny trzymał pod ostrzałem z karabinów maszynowych sąsiedni dom.

Latem zostawiają dachy samochodów w domu, opuszczają boczne szyby do oporu a radia ze zmieniaczami CD podkrecają do oporu i wloką się tak wolno, że człowiek zdąży sobie wyrobić pełny i przerażający pogląd na temat ich muzycznych gustów.

Ostatnio jeden taki, który parkował swojego otwartego czerwonego japończyka (rozdzielam tylko BMW, Mercedesa, Porsche i Gofa - wszystkie inne samochody nazywam na wszelki wypadek japończykami) dokładnie pod moim oknem, słuchał składanki najbardziej łzawych niemieckich przebojów.

Uważam, że takim facetom powinno się odbierać prawo jazdy i pozbawiać ich prawa wyborczego. A potem jeszcze siedział w samochodzie przez pięć minut! Pięć minut łzawych niemieckich szlagierów!

„Jesteś cudem, prawdziwym cudem, którego cudem w życiu uniknąć dało się”.

Byłam już gotowa dzwonić do straży miejskiej.

„Miała na imię Jeheheesica, po prostu Jeeheeesica”.

Ostrożnie wyjrzałam z balkonu na ulicę. Facet w japończyku wyglądał tak, jakby to jego dziewczyna miała na imię Jeheheesica.

„Dla ciebie moje życie, gdybym tylko mógł mieć cię! Za to pokroić się dam, za to choć dożywocie!”

Kierowca właśnie sprawdzał w lusterku jak leży jego nowy siatkowy T-shirt. Widziałam z góry, że na karku rośnie mu mnóstwo czarnych włosów. Brrrr. Pewnie biedny facet nigdy nie widział się z tyłu. W gruncie rzeczy wyglądał podobnie do tych, co śpiewali jego ulubione przeboje. Czarny wąsik i dzinsy tak obcisłe, że spokojnie można je uznać za skrojone specjalnie do epatowania przyrodzeniem.

„A mnie jest wszystko jedno, chcę ciebie na prostej i na zakręcie, w każdej chwili i w każdym momencie”.

Kierowca wypisał sobie w gardło cały ładunek dezodorantu do ust marki Odol (poznałam mimo odległości, bo sama od czasu do czasu używam).

„Dzisiaj księżyc jak malowany, a ja znowu jestem już zalany, lecz takiej nocy do ciebie tylko chcę”.

W tym momencie zapadła cisza.

Biedna Jessica. Jak ona może się całować z facetem, któremu z gęby jedzie kosmetyką, jakby miał coś do ukrycia i którego dzinsy nie pozostawiają nieudomówień, ale za to budzą wiele nieuzasadnionych pragnień?

Facet ruszył przed siebie na szeroko rozstawionych nogach, co siedem metrów łapiąc się za tyłek, żeby poprawić spodnie.

W ogóle ciekawym zjawiskiem jest jak łatwo człowiek zaczyna lubić rzeczy nieznośne, jeśli tylko dostatecznie długo ma z nimi do czynienia. Dotyczy to oczywiście nie tylko facetów, którzy przed lustrem w korytarzu wycinają sobie włoski w nosie czy matek, które raz w tygodniu pytają drżącym głosem, czy się już z kimś w końcu spotykamy.

Kiedy w dwa tygodnie później byłam na koncercie niemieckich szlagierów, miałam poczucie, że jestem u siebie. Wszystkie teksty znałam oczywiście na pamięć, jak wszyscy. Trochę mi tylko było głupio, że mimo ciemnych przeciwsłonecznych okularów moja koleżanka Sonia od razu mnie poznała i w dodatku przydybała na tym, że śpiewam razem ze wszystkimi. Sonia powiedziała, że dostała od kogoś bilet i przyszła tylko po to, żeby przestudiować socjologiczne aspekty odrodzenia łzawych niemieckich szlagierów. Zanim sobie poszła spytała jeszcze, czy mam już ten fantastyczny podwójny album Van Morrisona.

Przy wyjściu spotkałam ją znowu i zobaczyłam, jak pośpiesznie chowa przede mną kupioną właśnie składankę „Niemieckie szlagiery wczoraj i dziś”.

Fajnie jest tak sobie siedzieć na balkonie. Obserwuję mikroskopijne wycinki życia i staram się odgadnąć, jak też może wyglądać reszta tych przemaszerowujących pod moim balkonem losów.

Na przykład tamta kobieta. Wygląda jakby jeszcze nigdy w życiu nie miała orgazmu. Dźwiga torby z zakupami taka spięta, jakby przemyciała ściśle tajne mikrofilmy z kraju wroga.

Tego facia z wilczurem znam. Beznadziejny typ. Zawsze mówi do kobietek na bazarku „paniusiu” i demonstracyjnie wylicza drobne, podczas gdy jego przywiązane do słupa psisko wali co najmniej dwie gigantyczne kupy przy słupkach do przypinania rowerów.

O, patrzcie, patrzcie. Student spod trzynastego wybiera się o tej porze na jogging? Wygląda całkiem, całkiem.

A ten facet, który wychodzi za nim z naszego domu, trzyma pod pachą - nie wierzę własnym oczom - saszetkę. Nie ma chyba nic gorszego. Saszetki wyglądają zupełnie jak kosmetyczki. Podobnie groteskowo wyglądają faceci, którzy wychodzą z samą tylko parasolką, jeszcze w dodatku taką mულą, automatyczną. Jestem zdania, i pewnie nie będę tu odosobniona, że facet z parasolką traci coś z męskiej godności. To przecież kobieta ma prawo dbać o fryzurę. Mężczyźni nie muszą się obawiać deszczu i wiążących się z nim deformacji. Facet z parasolką jest jak pies w kagańcu. Żałosny widok.

Pod moim balkonem idzie wolnym krokiem para zakochanych. Ona trzyma rękę w kieszeni jego spodni.

Czy są małżeństwem? Nie chodzi o to, że zależałoby mi, żeby mieć już męża. Ten okropny moment, kiedy on musi przetaszczyć ją przez próg. Straszny zwyczaj. Ale nie miałabym nic przeciwko, żeby mnie ktoś poprosił

o rękę. Albo żebym tak jak dziewczyna Borysa Beckera znalazła w swoim drinku pierścionek z brylantem.

Cora Hofmann. Cora Hofmann-Hübsch. Cora Hübsch-Hofmann. Brzmi całkiem nieźle.

To oczywiste, że zostałabym przy swoim nazwisku. Z pracy mogłabym ewentualnie zrezygnować, ale z nazwiska nigdy.

Niestety, zaczęłam zastanawiać się nad sprawami, które w ogóle nie mają miejsca. To strasznie frustrujące. Ja tu sobie roztrząsam jak mała dziewczynka problemy podwójnego nazwiska, podczas gdy właściciel jego drugiej połowy nie raczy nawet do mnie zadzwonić - nie mówiąc już o poproszeniu o rękę.

Słońce świeci już tylko na moje stopy.

Akurat na nie.

Nie ma sprawiedliwości na świecie. Marianne mieszka ledwie dwa domy dalej a ma słońce co najmniej dwie godziny dłużej niż ja. Ale mimo wszystko nie chciałabym się z nią zamienić. Widzę, jak właśnie wiesza pranie na balkonie. Pewnie pieluszki. Marianne należy do tych zaangażowanych matek, które gardzą pampersami i wolą gotować papkę ze zdrowego szpinaku oraz przerobić pięć pralek tetrowych pieluszek dziennie.

Lepiej będzie, jak niepostrzeżenie schowam się w domu. Nie chciałabym, żeby Marianne mnie zobaczyła i zachciało jej się mnie odwiedzić. Aż tak samotnie się znowu nie czuję.

- Heeeeeej! Cora! Czy to nie piękny wieczór?

Shit. Macham przyjaźnie ze swojego balkonu jak brytyjska królowa matka.

- Zgadnij, co Dennis dzisiaj zrobił?

No tak, takie pytania uwielbiam najbardziej. Co tu jest wielkiego do zgadywania?

- Po raz pierwszy powiedział do ciebie „matka, spadaj”?

Wiem, że matki nie znają się na żartach, jeśli idzie o ich latorośle. Ale wiem też, że Marianne generalnie nie zna się na żartach, więc wszystko mi jedno.

- Nie, no coś ty! Coś o wiele lepszego! - Marianne przechyła się przez balustradę balkonu. Nie lubię takich rozmów. Wydaję się sobie jakąś praczką, która w sobotni wieczór nie ma nic lepszego do roboty, jak plotkować na cały głos przez balkon. Fakt, że tak naprawdę rzeczywiście nie mam nic lepszego do roboty, dodatkowo mnie pogębia.

- Denis zrobił dzisiaj rano „ee” do nocniczka!

Czuję, że należałoby teraz okazać zachwyty. Cisza, jaka zapadła między naszymi balkonami naładowana jest niesłychaną presją.

Ale ja nie jestem zachwycona i w ogóle nie jestem w nastroju, żeby udawać, że jestem.

- Naprawdę? I co, umieściłaś jego kupkę na honorowym miejscu w ga-  
blotce?

- No coś ty? Pewnie, że nie.

Co najbardziej zdumiewa w Marianne to to, że wprawdzie nigdy nie jest zabawna, ale też nigdy tak naprawdę nie jest urażona. Tylko dzięki temu może wytrzymać z taką sąsiadką jak ja i mężem takim jak jej Rüdiger. Coś mi się wydaje, że ona należy do tych, o których się mówi, że mają prosty, pogodny charakter.

Potrafi wybaczyć wszystko. A to dlatego, że połowy przykrości, jakie się jej mówi nie rozumie, a dla tej drugiej okazuje wyrozumiałość.

Kiedy się dowiedziała, że Rüdiger zdradza ją z kobitką z księgowości, była ucieleśnieniem spokoju.

- Wiesz co? - powiedziała do mnie. - Rüdiger nie jest jakoś specjalnie wystrzałowy w łóżku, więc wcale nie zazdrozczę tej kobiecie. Jest za to doskonałym ojcem, i tak jak ja lubi spać przy zamkniętych oknach. I w końcu, o to przecież chodzi, no nie? Znam go lepiej niż ta szantrapa z księgowości.

Pamiętam, że kiedyś prawie jej zazdrościłam. Nie Rüdigera, oczywiście. Ale tego jej nieskomplikowania. Ja nigdy nie będę nieskomplikowana. Co do tego mam stuprocentową pewność.

- Cora, muszę już wracać do domu. Życzę ci miłego wieczoru!



Marianne Berger-Mohr poznałam cztery miesiące temu, kiedy jej dwuletni synek zwymiotował mi na buty.

I tak nie lubię małych dzieci. Są dla mnie zbyt... bezpośrednie. Mówią różne wredne rzeczy i nawet nie ma się jak bronić.

Kiedy moja kuzynka obchodziła czterdziestkę, jej pięcioletnia córeczka Pia pokazała na mnie radośnie paluszkami i wykrzyknęła:

- Patscie! Ciocia Cora wygląda zupełnie jak zółwica Morla z *Niekończącej się opowieści*!

I wszyscy patrzyli. Najgorsze w tym wszystkim było to, że bachor miał w dodatku rację. Dwa dni wcześniej rozstałam się z Saszą i ostatnie noce spędziłam z coraz bardziej pustą butelką malt whisky w jednej i książką *Rozstanie jako szansa* w drugiej. To jak miałam po czymś takim wyglądać?

- Pia sobie tylko żartuje - próbowała ratować sytuację kuzynka. - Wyglądasz olśniewająco, Cora. Wręcz rozkwitasz. Mówię poważnie.

- Dziękuję - odpowiedziałam. Nie mam nic przeciwko kłamstwom w dobrej wierze.

Całe urodziny spędziłam szlochając w toalecie. Nie mogłam już dłużej znieść tych współczujących min.

Jak kobieta ma ponad trzydziestkę i oświadcza, że właśnie rozstała się z przyjacielem, to wszyscy patrzą na nią tak, jakby się im zwierzyła, że zostało jej tylko kilka dni życia.

- Ach, co tam, jeszcze sobie znajdziesz odpowiedniego faceta - mówią wtedy. Albo: - Niejedna matka ma syna. Albo: - Kobieta taka jak ty nie będzie długo sama.

Ale w duchu myślą zupełnie co innego.

Cóż, w każdym razie moje doświadczenia z małymi dziećmi nie były najlepsze. A kiedy zobaczyłam na chodniku - właśnie chciałam tylko wyskoczyć na chwilę do budki warzywnej - szlochającego w głos Dennisa, w pierwszym odruchu zamierzałam przejść na drugą stronę ulicy i udawać, że intensywnie studiuje listę zakupów.

Nie miałam jednak żadnej listy. Akurat byłam znowu na diecie i chciałam zamknąć mój owocowy dzień jednym kiwi. W zasadzie wolę banany, ale kiwi ze względu na swój kształt są mniej dwuznaczne. Za każdym razem odnoszę wrażenie, że sprzedający warzywa Turek uśmiecha się lubieżnie, kiedy kupuję u niego banany. Zupełnie, jakby uważał, że widocznie nie stać mnie na wibrator. Może go krzywdzę, ale od tamtej pory unikam kupowania u niego określonych warzyw, takich jak ogórki czy wyrosnięte marchewki.

Dennis zanosił się płaczem coraz głośniejszym, no i w końcu zdecydowałam, że nie będę takim potworem.

- Gdzie twoja mamusia? - spytałam miłym głosem przedszkolanki i pogłaskałam go po główce.

Chłopczyk nic nie powiedział, tylko rozdarł się jeszcze głośniejszym.

- Jak się nazywasz, chłopczyku?

Nie miałam pojęcia, czy dzieciaki w tym wieku w ogóle potrafią mówić.

Chłopczyk przestał płakać i spojrzał na mnie przestraszonym wzrokiem. No, przynajmniej tyle. Zebrałam się na odwagę.

- Gdzie mieszkasz? - spytałam siłąc się na miły, w moim pojęciu dla dziecka, uśmiech.

Chłopiec dalej milczał. Gapił się na mnie. A potem wykrzywił buzię i zwymiotował mi na buty.

Kompletnie nie wiedziałam, co w tej sytuacji zrobić, kiedy usłyszałam za plecami przejęty głos.

- Deniiis! Co ty wyprawiasz?! Deniiis!

W tym momencie Deniiis zwymiotował ponownie, tym razem do mojej torebki.

Jakaś kobieta, mniej więcej w moim wieku, rzuciła się w naszą stronę. Była bardzo chuda, pomijając niezwykle rozłożyste biodra. Wyglądało to dość osobliwie. Zupełnie jak stojący pionowo pyton, który połknął znak „Stop”. Co za biodra! Raczej nie miała problemów z wydaniem na świat Deniiisa. Znacznie większe sprawiało jej widać jego wychowanie.

- Deniiis! Czy ty zwymiotowałaś?! Ojej, ojej! Ubrudził panią? O Boże, ależ mi przykro! Zawsze tak robi, jak się zdenerwuje. Deniiis, ty brzydki! Boże! Niech pani poczeka, mam chusteczkę.

Wyjęła jakąś szmatę, która w najśmielszej nawet wyobraźni nie przypominała mi niczego, czym można cokolwiek oczyścić. Cofnęłam się przestraszona.

- Nie trzeba, nie trzeba - powiedziałam pośpiesznie. - Mieszkam tuż obok. Myślę że wystarczy zwykła czysta woda i wszystko zejdzie bez problemu.

- O, to pani też tu mieszka? Sprowadziliśmy się dopiero parę tygodni temu. Boże, jak mi nieprzyjemnie. Bardzo panią proszę, niech pani do mnie wstąpi, żebym mogła to wszystko oczyścić. Bardzo panią proszę, niech się pani zgodzi.

Rezolutnie pociągnęła mnie za sobą przez ulicę, jednocześnie ściskając pod pachą wydzierającego się znowu synka. Nie umiałam się przed tym obronić i w chwilę później znalazłam się w przerażająco szczerze urządzonej mieszkanie.

Powiem tylko tyle: zasłony ze złotym lamowaniem, komplet wypożyczkowy w pokrowcach ochronnych, kasetony z ołowianymi czcionkami, akwarium z gupikami. Ale najstraszniejszy w całym mieszkaniu był mąż siedzący przed telewizorem.

- Rüdiger! Patrz, przyprowadziłam gościa!

Rüdiger nawet nie drgnął. Moim zdaniem, jak ktoś

ma na imię Rüdiger to jest już prawie tak samo strasznie, jakby miał na imię Knut. Rüdiger spojrzał na mnie obojętnie i nastawił telewizor trochę

głośniej. Boże! Takiej tępej gęby w życiu jeszcze nie widziałam. Facet wyglądał jak odbytnica wysilająca się, żeby nie puścić bąka.

- Ojej! Ja się chyba jeszcze w ogóle nie przedstawiłam! Nazywam się Berger-Mohr. Marianne Berger-Mohr - powiedziała Marianne Berger-Mohr.

- Nazywam się Hübsch. Cora Hübsch - odpowiedziałam.

TLR

- Och, jak ładnie! Ha, ha, ha! - Marianne roześmiała się ze swojego dowcipu. Rüdiger nie zareagował, tylko nastawił telewizor jeszcze odrobinę głośniej i zwrócił się do żony:

- Która godzina?

Marianne postawiła syna na podłodze i spojrzała na zegarek.

- Piętnaście po szóstej.

- Tak też myślałem - powiedział Rüdiger, a potem wstał i zamknął drzwi do pokoju. Czułam się coraz bardziej nieswojo.

Tego wieczoru spędziłam w mikroskopijnej kuchence Marianne całą godzinę. Czyszcząc moje buty i torebkę, wmusiła we mnie ładnych parę kieliszków likieru wiśniowego i kazała wysłuchać nieprawdopodobnie nudnej historii swego życia, której nawet nie mam zamiaru tu przytaczać. Dopiero, gdy wspomniała, że jest informatyczką, nadstawiłam uszu.

- O, to ciekawe.

- Naprawdę tak uważasz? (Przeszłyśmy na ty po drugim kieliszku likieru) Rüdiger też jest informatykiem. Poznaliśmy się na kursie dokształcającym dla analityków systemowych. Co tu dużo mówić, w rok później urodził się nam Dennis.

Jakoś mnie to rozbawiło. Dwoje informatyków. Trudno sobie nawet wyobrazić, żeby oni mogli cokolwiek wiedzieć o kopulacji.

- To miłe - powiedziałam. - Czyli wasz synek to taki prawdziwy gameboy.

- Słucham?

- Nie, nic. Tak tylko powiedziałam.

Jak już mówiłam, nie lubię, kiedy ktoś nie rozumie moich dowcipów. Mimo wszystko jednak nie chciałam popsuć sobie stosunków z Marianne Berger-Mohr. Tak się bowiem składa, że mam dość napięte stosunki z moim komputerem. A z drukarką jestem wręcz na wojennej ścieżce. Nic nie zaszkodzi mieć w kręgu najbliższych znajomych specja od komputerów.

Od tego czasu Marianne wpada do mnie mniej więcej raz na tydzień, żeby sprawdzić mi komputer i opowiedzieć najświeższe nowości ze swego pasjonującego życia. Przyjacielskie układy z Marianne pozwalają mi od czasu do czasu spojrzeć na moje życie z zupełnie innej perspektywy. W porównaniu z seksem, jaki zapewnia Marianne Rüdiger, każda masturbacja jest szczytem miłosnego uniesienia.

Poniedziałek! Mój poniedziałek. Nasz poniedziałek. Nareszcie poniedziałek. Ostatnie dni spędziłam w stanie maksymalnego napięcia.

Przede wszystkim byłam niesłychanie zaabsorbowana przetrawianiem wieczoru z Danielem. W licznych, wielogodzinnych monologach przedstawiałam Jo jego przebieg. To ważne, bo za każdym razem człowiek przypomina sobie o jakimś drobiazgu.

Na przykład o tym, jak podawał mi parmezan z zachwycającą, czułą a przecież jakże męską gracją.

Albo jak poprosił kelnera, uprzejmie ale z naciskiem, o przyniesienie pieczywa. Jak zdjął marynarkę swobodnym, a jednocześnie młodzieńczym i dynamicznym ruchem.

Były to rzeczy, które dopiero stopniowo odnajdowały drogę do mojej skołowanej pamięci.

Nawet nie umiem powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczna Jo, że na moje ponawiane co godzinę: „Słuchaj, a czy opowiadałam ci już, jak on...” za każdym razem odpowiadała dobrotliwie: „Tak, opowiadałaś. Ale opowiedz jeszcze raz”.

To naprawdę cholernie fajna przyjaciółka.

Ostatnie cztery dni i noce spędziłam na myśleniu o seksie i o tym, jak się do niego przygotować. Podniecająca mieszanka myślowa z erotycznych fantazji i pragmatycznej strategii. Nie miałam wątpliwości, że tym razem pójdziemy na całość. I byłam na to jak najbardziej gotowa.

Najbardziej podniecające godziny w życiu kobiety to te, kiedy przygotowuje się do randki z potencjalnie intymnym zakończeniem. W porównaniu z tym sam seks to już często praktycznie relaks.

A oto poszczególne etapy wstecznego odliczania:

***Poniedziałek, godzina 17.45:***



Wracam z pracy do domu. Chociaż mówienie o pracy to raczej duża przesada. Siedząc przy komputerze, usiłowałam uspokoić się metodami treningu autogenicznego. Uśmiechając się szeroko, siedziałam w kantynie zapominając zupełnie, że mam zjeść fileta z kurczaka w chrupiącej panierce. Od godziny 16.00 bezustannie zerkałam na zegarek i o 17 niemal wybiegłam z budynku. Oczywiście musiałam się wrócić, bo zostawiłam płaszcz i kluczyki od samochodu.

**17.46:**

Odsłuchuję sekretarkę. Dwie wiadomości. Błagam, nie! Żeby tylko nie odwołał spotkania!

Piiiiip.

„Cześć, mówi Jo. Niech zgadnę: właśnie rujnuję twój ściśle rozpisany plan zajęć. Masz jeszcze mniej więcej dwie godziny na peeling całego ciała, zrobienie sobie maseczki na twarz i makijażu. Wiem, że liczy się każda sekunda. Ale jeśli jednak znajdziesz chociaż minutkę, zadzwoń do mnie. A tak w ogóle: trzymam kciuki. I jeszcze jedna rada: broń Boże nie zakładaj body, bo faceci za żadne skarby nie umieją się w tym rozeznaczyć. Po prostu zrezygnuj z bielizny. Po pierwsze to dla nich strasznie podniecające, a po drugie oszczędza upokarzającego majstrowania przy haftkach. Jeszcze raz

- powodzenia.

Piiiiip.

„Cora, kochanie, tu Big Jim. To dzisiaj jest ten twój wielki wieczór, tak? Chciałem ci tylko życzyć powodzenia. A wiesz, jaki jest stary przepis Casanovy dla facetów przed takimi spotkaniami? Myją zęby Colgate mint forte a potem przepłukują whisky. Stary przepis Casanovy. Zwróć uwagę. Dobra, to nie daj się mu. Chociaż, co ja gadam, może jednak daj. Pozdrowionka.”

**17.48:**

Wypijam kieliszek szampana wznosząc toast za przyjaciół słuchając przy okazji mojego ulubionego utworu Mtume, który nastraja mnie do seksu.

„I will be your lollypop - you can lick me everywhere”.

Mam czas - w końcu kwestię ciuchową przedyskutowałam i wyjaśniłam z Jo wieki temu. Sexy ale nie wyzywające. Eleganckie, ale nie przesadnie zobowiązujące. Dające się zdjąć kilkoma ruchami i nie za obcisłe. Nie ma nic gorszego, niż kiedy w momencie najwyższej ekstazy człowiek zaklinuje się w dżinsach, albo po rozebraniu wygląda tak, jakby kilka dni temu skończyli go torturować agenci obcego wywiadu: zbyt obcisłe ubranie, za ciasna bielizna pozostawiają brzydkie ślady na całym ciele. Odstęczający jest też odcisk guzika od spodni poniżej pępka.

Zdecydowałam się na miękką kremową letnią sukienkę. Z długim zamkiem błyskawicznym na plecach i rękawkami trzy czwarte. To bardzo ważne. Sukienki na ramiączkach są nie dla mnie. Przy moich dość szerokich ramionach wyglądałabym jak Michalczewski w negliżu.

Dzięki paru wizytom w solarium spokojnie mogę zrezygnować z pończoch. Bo na drugim etapie pozbywania się ubrania często zostaje się tylko w samych pończochach. A to już wygląda kompletnie idiotycznie. A takie samonośne pończochy, wiem to z doświadczenia, potrafią zachowywać się dość samowolnie. Albo zsuwają się nagle i plączą w preclach wokół kostek, albo do tego stopnia wpijają się w uda, że skutecznie tamują przepływ krwi w tej i tak problematycznej strefie kobiecego ciała.

**18:00:**

Zabiegi toaletowe.

Prysznic (żel o zapachu kiwi).

Mycie włosów (szampon o zapachu pomarańczy).

Odżywka (o zapachu kokosowym).

Balsam do ciała (o zapachu waniliowym).

**18:30:**

Makijaż Dzięki lekkiej opaleniznie nie wyglądam już jak wyjęta prosto z zamrażarki. Róż. Pomadka. Tusz do rzęs. Starczy.

Tracę niestety mnóstwo bezcennych minut, bo dwa razy muszę zetrzeć cały makijaż. Z tuszem do rzęs nie jest wcale łatwo. Najczęściej zbija się w grudki, tak że rzęsy wyglądają jak nogi chorego na artretyzm pająka ptaszniaka.

**18:50:**

Siedzę w płaszczu kąpielowym i turbanie z ręcznika przy stole w kuchni. Dobrze, że Daniel mnie takiej nie widzi. Zupełnie jak Nefretete, która ledwo umknęła z krwawej masakry. Od kiedy spróbowałam raz polakierować sobie paznokcie u nóg, mój płaszcz kąpielowy cały usiany jest krwawymi plamami.

Wypijam jeszcze łyżeczek i modlę się, żeby tylko włosy nie zrobiły mi dzisiaj nieprzyjemnej niespodzianki. Są po prostu nieobliczalne. Zostawiłam sobie odżywkę specjalnie o dziesięć minut dłużej na głowie, żeby były posłuszniejsze.

**19.02:**

Sukienka pasuje jak ulał. Koniecznie potrzebuję faceta. Nie tylko po to, żeby mnie rozebrał, ale najpierw, żeby mnie zapiął, bo przy każdej próbie zasunięcia tego cholernego zamka błyskawicznego o mało nie zrywam sobie mięśni karku.

Zdecydowałam się jednak na białą koronkową bieliznę. Daje wrażenie przyzwoitości. Czystości. Dziewictwa.

**19.15:**

Nieeeeeee! Tylko nie to! Nie dzisiaj! Nie teraz!

Wysuszyłam włosy suszarką i wyglądam jak Jezus. Wszystko wisi bez cienia fantazji. Gdzie się podziały moje loki?!

**19:23:**

Koniec. Muszę odwołać spotkanie. Po zabiegu lokówką wyglądam jak Maria Magdalena po ecstacy.

**19:27:**

Muszę się uspokoić, więc wypijam kolejny kieliszek szampana. Jo ratuje mi życie podpowiadając, żebym włosy po prostu upięła.

Super! Tylko czym? Jo wysyła mi rowerową pocztą kurierską szpilki do włosów i przefaksowuje krótki kurs upinania włosów.

**19:45:**

Wychodzę z domu mając około 83 spinek we włosach i około 1,1 promila we krwi.

„Hofmann” czytam na domofonie. Spodobało mi się, bo w zasadzie tytuł doktor przynależy do nazwiska, więc skoro ktoś z niego rezygnuje, to oznacza, że stać go na nieprzywiązywanie wagi do takich powierzchowności.

To tak, jak fundowanie ławek w kościele i rezygnacja z przybijania przy co drugim miejscu z tabliczki z napisem „Ufundowane przez...”. Wszystko jedno.

Wchodząc po schodach imponującej klatki schodowej byłam podchocona i nie do odparcia. Stare budownictwo. Marmurowe schody z dywanem. Fiu, fiu! Niestety bez windy. Kiedy dotarłam do czwartego piętra, zabrakło mi tchu, a w dodatku mniej więcej na drugim dostałam czkawki.

- Cześć - powiedział Daniel. Czekał w drzwiach, oparty swobodnie o framugę drzwi. Granatowe dżinsy i biały T-shirt. Zastanawiałam się, ile godzin musiał spędzić na przygotowaniach, żeby wyglądać na tak perfekcyjnie nieprzygotowanego.

Uśmiechnęłam się uwodzicielsko i powiedziałam: - Czeehyypść!

Kurcze, ale obciach! Pewnie sobie pomyśli, że walnęłam już ze cztery kieliszki szampana. Bo jak już dopada mnie czkawka to taka porządna. Zupełnie jakby ktoś w nieregularnych, ale dość krótkich odstępach czasu, nadeptywał na świnkę morską.

Tak więc, pierwszy kwadrans spotkania spędziliśmy na wypróbowywaniu kolejnych technik pozbywania się czkawki. Szklanka wody. Wstrzymywanie oddechu. Magiczne zaklęcia. Wszystko na próżno.

Wyglądało na to, że Daniel świetnie się bawi. Właśnie byłam przy powtarzaniu od tyłu tabliczki mnożenia, kiedy nagle powiedział:

- Zapomniałem powiedzieć, że niedługo wychodzę. Nagły przypadek w klinice. Mam nadzieję, że się nie gniewasz.

- Co?! - spytałam kamieniejąc w środku, ale w ułamku sekundy jakoś się pozbierałam, przynajmniej na zewnątrz.

- Nie ma sprawy. Nawet dobrze się składa, bo też mam trochę pracy.

- Co ty powiesz? I jak tam czkawka?

- Co czkawka?

- No jak tam czkawka? Zniknęła?

Uważnie wsłuchiwałam się w siebie. Ani śladu czkawki. Zero. Tylko ziejąca, bolesna pustka w moim wnętrzu.

- Zniknęła.

- No widzisz. Ten sposób zawsze skutkuje.

- Jaki sposób.

- Trzeba osobę cierpiącą na czawkę mocno przestraszyć.

- A, no tak. Rzeczywiście.

Niestety, nic więcej nie umiałam w tym momencie powiedzieć. Zastanawiałam się, czy nie zacząć symulować nawrotu czkawki, żeby nie czuć się tak idiotycznie nabita w butelkę, ale dałam sobie spokój. Nie mam doświadczenia w symulowaniu czkawki. Moją domeną jest udawanie zainteresowania, współczucia i orgazmów.

Wydaje mi się, że jedzenie, które ugotował Daniel było wyśmienite. Przynajmniej tak wtedy twierdziłam. Coś tam z kluskami. A może z ryżem. Może zresztą były to ziemniaki.

Chyba też fajnie sobie rozmawialiśmy. O zaletach kuchenek z elektryczną płytą grzejącą. Chyba też o zegarkach, albo może o konflikcie palestyńskim. Wydaje mi się, że sprawiałam wrażenie kompletnie odprężonej i radosnej, chociaż przez cały czas zadawałam sobie pytanie, czy:

a. moja fryzura nie zaczyna zmieniać się w byłą fryzurę



- b. nie mam resztek jedzenia między przednimi zębami
- c. moja kremowa sukienka nie wejdzie za chwilę w fatalny konflikt z sosem pomidorowym.

Byłam tak zajęta zastanawianiem się, czy mu się podobam, że zupełnie zapomniałam się zastanowić, czy on mi się podoba.

Salon w jego mieszkaniu bardzo mi się podobał - tyle jeszcze pamiętam. Po jedzeniu Daniel wmanewrował mnie na kanapę ze słowami: „Mamy jeszcze przecież spotkanie z panną Marple”. Ogromny mebel z ciemnym aksamitnym obiciem.

Pamiętam jeszcze, że wprawnym spojrzeniem błyskawicznie sprawdziłam ją pod kątem podejrzanych plam. Bo na przykład sperma zawsze obrzydliwie wylazi na aksamicie. Dlatego między innymi zdecydowałam się na obicie w zebra. Obicia w zebra dyskretnie zachowują swoje tajemnice dla siebie. Kanapa Daniela była wolna od jakichkolwiek plam.

Co oczywiście wcale nie musi o niczym świadczyć. Znałam raz jednego takiego - obrzydliwy facet, o którym myślę z najwyższą niechęcią - który zawsze odwracał poduszki na kanapie. Czysta strona była zarezerwowana dla jego przyjaciółki. Byli już ze sobą pięć lat, a przy takim stażu nie zostawia się już plam na kanapie. Natomiast poplamioną stronę musiały dzielić między sobą jego trzy, czy cztery dochodzące panienki.

Usiadłam i rozejrzałam się. Wszystko było w swobodnym nieładzie. Zupełnie jak na zdjęciach w czasopiśmie o urządzeniu wnętrz: Tu leży sobie jakieś kolorowe czasopismo czy album wczesnych dzieł Picassa, tam z kolei biały patchwork zwiesza się malowniczo z oparcia fotela.

Kiedy ja wkraczam do pokoju, takie dekoracje mają raczej krótki żywot. Chaos to mój nieodłączny towarzysz. Również w salonie doktora Hofmanna bardzo szybko zrobiło się przytulnie. Ja po prostu potrzebuję paru rzeczy w zasięgu ręki, żeby się dobrze czuć: popielniczka, papierosy, zapalniczka, kieliszek wina. W najszlachetniejszym wydaniu, tak jak to było tutaj, szampan w kubelku z lodem, czekoladki, herbatniczki w czekoladzie, chipsy.

Daniel zadbał, żebym się dobrze u niego czuła, więc już wkrótce jego salon zmienił się w pomieszczenie, które niekoniecznie nadawałoby się do sfotografowania na potrzeby „Schöner Wohnen”.

W zasadzie nie pamiętam próby zbliżenia, która nie miałaby w sobie czegoś wzruszająco nieporadnego. Najczęściej faceci długo, długo nic nie robią, żeby potem, w nagłym akcie rozpaczy zrobić wszystko naraz.

Poczułam niejaką ulgę, że ten boski medyk nie stanowił pod tym względem wyjątku. Miss Marple właśnie odkryła zwłoki Cory Land-scane, zamordowanej na bujanym fotelu drutem do robótek, kiedy Daniel położył dłoń na moim karku, który dzięki szpilkom pożyczonym od Jo był całkowicie odsłonięty.

- Jak tam twoje przykurcze? Nosisz wkładki, które ci zapisałem?

Baaardzo zabawne. Postanowiłam przemilczeć tę dyskryminującą uwagę. Zamiast tego świętoszkowato odchyliłam głowę w bok. W którymś z babskich pism przeczytałam, że obnażenie damskiej szyi wzbudza w mężczyznach pierwotne instynkty.

Zadziałało! Dzięki ci „Cosmo”! Daniel nadzwyczaj pierwotnym gestem przyciągnął moją głowę do swojej twarzy. Trochę głupio, że ten jego pierwszy atak odparła moja fantazyjna szpilka do włosów. Roześmieliśmy się oboje, co mnie trochę zbiło z tropu. Humor i erotyka niespecjalnie do siebie pasują, jeśli ludzie się jeszcze nie za dobrze znają. Pierwszy raz to poważna i trudna sprawa.

Czy inni też to mają, że przy pierwszym pocałunku cały czas myślą tylko o tym, co tu powiedzieć, kiedy pocałunek się skończy? Pewnie tak naprawdę w ogóle nie trzeba nic mówić, tylko po prostu patrzeć sobie refleksyjnie w oczy. Ale ja tak nie umiem. Wręcz czuję się zmuszona wypełnić ciszę po pierwszym intymnym kontakcie swobodną konwersacją. Wyskakuje wtedy z rzeczami w rodzaju. „Mogę jeszcze jeden kieliszek wina?” albo „Mogę jeszcze jednego papierosa?” albo - kiedyś, dawniej - „Mogę jeszcze jednego jointa?”. Jestem pewna, że przez te wszystkie lata spowodowało to utrwalenie się moich nałogów.

- Mogę jeszcze jeden kieliszek wina?

- spytałam zatem, kiedy skończył.

- Nie - powiedział Daniel. I pocałował mnie znowu. Podobało mi się to, chociaż oczywiście nie rozwiązało problemu, przesuając go wyłącznie w czasie.

Zdaje się, że było to w momencie, kiedy panna Marple odkryła zwłoki w stajni, a Daniel wstał, żeby zaciągnąć zasłony. Wtedy właśnie po raz pierwszy miałam okazję zauważyć, że coś jest jednak inaczej niż zawsze.

- No i jak było? - spytała Jo, kiedy zadzwoniła do mnie następnego dnia rano.

- Co jak było?

- No jak to „co jak było”? Nie wygłupiaj się. Całowaliście się? Poszliście do łóżka? Jak jest zbudowany? No opowiadaj, dziewczyno, normalnie nie jesteś taka oszczędna w słowach.

- W zasadzie niewiele było.

- Oh! - Jo umilkła zaskoczona.

- Całować się całowaliśmy.

- Tylko się całowaliście? Tylko mi nie mów, że Daniel to jeden z tych facetów, co rezygnują z seksu wieczorem, kiedy muszą rano wstać do pracy. To mi przypomina Olliego, pamiętasz?

- Jakiego znowu Olliego?

- Tego blondasa z biura podróży. No wiesz. Tego, który nie chciał się ze mną obściskiwać w kinie, bo w końcu zapłacił za to, żeby obejrzeć film.

Trzymaj się z daleka od takich facetów. Oni mają tendencję do braku radości.

- Nie, nie tak też znowu nie było. To o mnie chodzi. Ja nagle nie miałam ochoty na więcej.

- Ty nie miałaś ochoty na więcej?! A co się stało? Czuć mu było z ust, czy jak? Chociaż przecież jak byłaś z tym typasem z ubezpieczeń, jak mu tam było, aha, Aleks, to ci to w niczym nie przeszkadzało. Pamiętasz jak wpychałaś w niego drażetki Fisherman's Friend, żeby bez oporów móc z nim pójść do łóżka?

- Nie, nie, tym razem wszystko było inaczej. A tamto z Alekssem, to też przecież nie było na poważnie. Zresztą, sama już nie wiem. Po prostu nagle poczułam, bo ja wiem? Nie mam pojęcia jak to powiedzieć. Nagle stało się to dla mnie za bardzo ważne. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Ten facet mi się podoba

opomyślałam sobie, że będzie inaczej, jeśli nie zrobimy tego od razu na pierwszym spotkaniu.

- No cóż, przynajmniej oryginalnie. Zupełnie jak wzięcie ślubu kiedy nie jest się w ciąży. Cora?

- Mmmh?

- Wydaje mi się, że naprawdę się zakochałaś.

- Mmmh. Po prostu nie chciałam, żeby zdarzyło się wszystko, co może się zdarzyć.

Poza tym twoja mama zawsze powtarzała: „Kto rzadziej widziany, ten bardziej szanowany”. No to tak zrobiłam. Uważam się za prawdziwą bohaterkę.

- A on? Co on na to?

- Był trochę zaskoczony.

- Wyobrażam sobie. Pewnie do tego nie przywykł. I jak się z tego wywinęłaś?

- No wiesz, miałam na sobie sukienkę...

- Tę kremową?

- Aha. Gdzieś tak około północy poprosiłam, żeby zapiął mi z powrotem zamek z tyłu.

- O, to jednak coś mu się udało.

- I powiedziałam, że rano muszę wcześniej wstać bo mam strasznie dużo do zrobienia.

- Oj, bo pęknę ze śmiechu! I on ci uwierzył? Niesamowite! To się nazywa emancypacja. Taką idiotyczną wymówkę słyszy się zazwyczaj od faceta.

- Mówię ci, Jo, kiedy już wyszłam potem na ulicę, to byłam w absolutnej euforii. Żaden seks nie jest tak dobry, jak rezygnacja z seksu. Wszystko jeszcze było przede mną. Pokonałam własne hormony. I jeszcze przy okazji pewnie urosłam trochę w jego oczach. Czego więcej kobiecie potrzeba?

- Pewnie masz słuszość. Gratuluję. Czy to nie absurd? Zdobywasz jego szacunek tym, że nie dajesz mu tego, czego on chce. Pewnie ludzie mogą ze sobą być na stałe tylko wówczas, gdy całkowicie rezygnują z seksu.

- Nie, nie, tak daleko nie zamierzam się posuwać. Pojutrze znowu się spotykamy. Daniel zabiera mnie ze sobą na jakieś party. Brzmi nieźle, co?

- We środę? O ile pamiętam, miałyśmy iść razem do „Massimo”?

- O kurcze, zupełnie zapomniałam. Mam odwołać spotkanie z Danielem?

- Tylko bez takich. Tego był już było za wiele. Najpierw odmawiasz biedakowi seksu, a potem odwołujesz spotkanie. Mógłby się zbuntować. Nie wolno ci przeciągać struny. On ma się czuć jak zdobywca, a nie jak kretyn. Nie wiadomo dlaczego większość mężczyzn nie lubi się w tej roli, chociaż wielu z nich jest do niej jakby stworzona.

- Na pewno masz rację. Nie będziesz na mnie zła?

- Czyś ty zwariowała?

- A co z dzisiejszym wieczorem? Masz czas? Nie mam pojęcia co założyć na środę.

- Wpadnij do mnie, to ci coś pożyczę. A propos, jak ci wyszło upięcie włosów?

- Kiedy wróciłam do domu, wyglądałam jak sponiewierana wierzchem wierzba płacząca.

- Musimy ci wymyślić jakąś inną fryzurę.
- Ja nie mam fryzury. Ja mam tylko włosy.
- Dobra, dobra, pomyślimy. Mam coś ugotować?
- Nie, jakaś sałatka wystarczy.
- Rozumiem.

**18:58**

Jestem tak zrozpaczona, że zaraz sobie obejrzę w telewizorze magazyn „Dzisiaj”. Mam nadzieję, że była jakaś porządna katastrofa. Może to zabrzmie obrzydliwie i *może* nawet jest obrzydliwe, ale w takich chwilach nieszczęście innych jakoś mnie stawia na nogi. W obliczu straszliwej suszy czy przerażającego głodu nasze własne cierpienie nagle przestaje się wydawać najważniejsze na świecie. Po prostu nie należy się za bardzo sobą zajmować.

Od tej chwili przestaję się sobą zajmować. Ale od razu pojawia się pytanie, czym w takim razie mam się zajmować? Może powinnam wstąpić do jakiegoś stowarzyszenia wyższej użyteczności? Albo przynajmniej dać coś na Czerwony Krzyż, czy coś.



Wiadomości są nudne. Może powinnam zostać z Saszą? Może do niego zadzwonić?

On mnie chyba nadal kocha. Taką mam przynajmniej nadzieję. Lubię, kiedy kochają mnie ci, których ja nie kocham. To mi zwiększa poczucie własnej wartości. Dokładnie pamiętam ten wieczór, kiedy się z nim rozstałam. Całymi tygodniami odsuwałam od siebie ten moment. Nie lubię się rozstawać. A od kiedy mam już ponad trzydziestkę, nie lubię jeszcze bardziej. Ale po prostu dłużej się nie dało i Jo zmusiła mnie, żebym mu to w końcu powiedziała.

- Wezwiesz go do siebie na dwudziestą. O dwudziestej trzeciej dzwonię do ciebie i jeśli do tego czasu sprawa nie będzie definitywnie załatwiona, dopilnuję, żeby twoje zdjęcie z dzieciństwa znalazło się na tytułowej stronie jakiejś bulwarówki.

Jako dziecko wyglądałam okropnie.

- Po prostu do siebie nie pasujemy.

Sasza patrzył na mnie smutnym wzrokiem. To był dla niego cios w samo serce.

- Jak to nie pasujemy?

- Sasza, przecież sam to chyba widzisz? Pierwsze co robię, jak wsiądę do ciebie do samochodu to zmieniam stację, bo nienawidzę tego kulturalnego programu, którego słuchasz! I jestem bałaganiarą! Ja też nie lubię jak mi się rano skwasi mleko w kawie, ale jeszcze mniej mi się podoba bycie z kimś, kto każdego dnia robi mi z tego powodu wymówki. Nie zniosę też

dłużej, żebyś wynosił mi stare gazety do pojemnika na makulaturę, wkładał (właśnie wkładał! żebyś chociaż upychał!) moją brudną bieliznę do kosza na pranie, układał mi według alfabetu kasety wideo, albo wstawał w środku nocy, żeby zakorkować butelkę dobrego czerwonego wina, którą zostawiłam otwartą na stole. Tak się dalej nie da!

- Cora, ja cię lubię taką, jaka jesteś. Mnie to wszystko nie przeszkadza. Mówię poważnie.

- Ale mnie przeszkadza!

- Cora, teraz to już jesteś dziecinna! To, że dwoje ludzi kompletnie się od siebie różni wcale nie znaczy, że do siebie nie pasują - zaczął Sasza tonem, jakim przemawia się do małej dziewczynki, której zamierza się wyjaśnić zawiłości tego świata. - Opowiadałem ci już o moich dziadkach?

Niechętnie pokręciłam przecząco głową.

- Moi dziadkowie byli od siebie tak bardzo różni, jak różni mogą być od siebie ludzie. Dziadek w wieku lat osiemdziesięciu zapisał się na studia historyczne i nie przestawał opowiadać o tym babci, próbując ją zainteresować tym, co robi. Któregoś razu powiedział jej: „Słuchaj, Magda, chodź ze mną dziś wieczorem na wykład. Na pewno cię zainteresuje. Chodzi o Wiosnę Ludów”. A moja babcia pogłaskała go po głowie i powiedziała: „Lepiej idź sam, ja tan wolę jesień.”

Zdobyłam się na wymuszony uśmiech.

- I wiesz co, właśnie za to dziadek ją kochał. Byli bardzo szczęśliwym małżeństwem i mieli trójkę dzieci.

- My nie możemy mieć dzieci.

To było dobre posunięcie, egzystencjalne, że tak powiem.

- A dlaczego nie?

- Przecież nie mogliśmy się zgodzić nawet co do tego, jak mam wychować papużkę!

- Muszę przyznać, że twój Hermann, istotnie był stworzeniem zdegenerowanym. Oduczyłaś go jego zwierzęcych instynktów. Co zresztą kosztowało go życie.

- Co chcesz przez to powiedzieć ? Że to ja zabiłam Hermanna? - zorientowałam się, że w moim głosie pojawiają się histeryczne tony.

- Nie, nie o to chodzi. Ale on oduczył się strachu. Każdy normalny ptak by sobie odleciał. W końcu od tego są, prawda? A Hermann to z pewnością jedyna papużka na świecie, która straciła życie dlatego, że niechcący nadepnął na nią hydraulik.

Zamurowało mnie. Przez chwilę walczyłam ze sobą, żeby nie wybuchnąć. Hermann bardzo wiele dla mnie znaczył. Poza tym potrzebowałam czasu, żeby ułożyć sobie w głowie następny argument.

- A pamiętasz jak było z naszym urlopem w Eifel? - wykrzyknęłam triumfalnie. Ha! Przyszpiliłam go tym na amen.

- Proszę cię, nie zaczynaj znowu o tym samym! - powiedział Sasza niby spokojnie, ale widziałam że wierci się na krześle. Mężczyźni nie lubią, jak

im się przypomina ich błędy. Zwłaszcza że oni bardzo rzadko uznają swoje błędy za błędy.

To było ostatniego lata. Planowaliśmy z Saszą pierwszy wspólny urlop. Wertowałam katalogi biur podróży z napisami *Wakacje w dalekich krajach* albo *Azja inaczej* czy *Egzotyczne podróże*.

Wyobrażałam sobie jak wychodzę rano przed nasz stojący na bambusowych palach bungalow, z kolorowym kwiatem we włosach, biegnę olśniewająco białą plażą, by zanurzyć spalone na brąz, szczupłe (wcześniej ścisła dieta, rozumie się) ciało w lazurowych falach południowego morza, podczas gdy Sasza siedzi na tarasie i rozcina maczetą orzech kokosowy, aby potem czekać na mnie w hamaku rozwieszonym między dwiema palmami o szerokich liściach, romantycznie szeleszczącymi w tropikalnym wietrzyku.

Ach, pomarzyć. Uwielbiam przygotowania do podróży. Uważam, że im wcześniej się je rozpoczyna, tym lepiej. Z tego powodu kompletnie gardzę ofertami last minute, bo one odbierają człowiekowi najpiękniejsze chwile urlopu, mianowicie długie tygodnie radosnego oczekiwania.

Problem w tym, że moje działania przygotowawcze dziwnie mało Saszę wzruszały. Co gorsza, w każdym kraju, jaki proponowałam jako potencjalny cel podróży, znajdował od razu coś, co mu się nie podobało. Mniej więcej na trzy tygodnie przed planowanym terminem podróży wciąż jeszcze byliśmy kompletnie niezdecydowani. W związku z tym profilaktycznie łykaliśmy w wielkich ilościach wszelkie możliwe lekarstwa przeciw malarii. W Tajlandii

bowiem panuje zupełnie inna malaria niż w Indiach, gdzie z kolei zarazki całkowicie różnią się od tych z Wietnamu.

Na tydzień przed pierwszym dniem naszego pierwszego wspólnego urlopu moglibyśmy już objechać cały świat nie padając ofiarą jakiegokolwiek choroby. W końcu zabukowałam Wietnam.

Co ja będę dużo mówić. Na dwa dni przed wylotem Sasza odkrył, że wilgotność powietrza w Wietnamie jest o wiele za wysoka, żeby można było tam przyjemnie spędzić czas.

Odwołałam lot i spędziliśmy dwa tygodnie w domku letniskowym rodziców Saszy w Eifel przy granicy z Belgią. Było okropnie.

Brakowało tylko tego, żebym tam złapała jakąś rzadką odmianę miejscowej malarii.

Siąpiło bez przerwy. Był to ten rodzaj perfidnego deszczu, którego początkowo zupełnie się nie zauważa, ale który potem przemoczy człowieka do suchej nitki. Podczas gdy cała reszta Niemiec, nie mówiąc o Wietnamie, dyszała w słonecznym wyżu, ja siedziałam z Szaszą w murowanym domu z pruskiego muru i grałam w warcaby. Już wtedy powinno mi to dać do myślenia.

- Po prostu do siebie nie pasujemy - powtórzyłam dramatycznym tonem.  
- Nafaszerowana lekami przeciwko malarii przez dwa tygodnie kiblowałam w jedynym miejscu na całej ziemi, które trzeba było tego lata ogrzewać.

Widziałam, jak w Saszy wzbiera gniew. Trafiłam go w czuły punkt. I dobrze. Byłam absolutnie zdecydowana doprowadzić sprawę do końca.

Okay, dobrze, nasz związek zaczął się bardzo pięknie, to prawda. Ale co to zmienia? Dalej już nie było tak pięknie. Widziałam, jak Sasza szykuje się do kontraktu.

- Cora, co jasnej cholery, czemu musisz być zawsze taka nierozsądna? Po co odgrzebujesz zaraz tę starą historię z urlopem? To też typowe dla ciebie. Zawsze jesteś taka mało rzeczowa.

- No właśnie. Dlatego do siebie nie pasujemy. Ja jestem zawsze mało rzeczowa i bardzo mi to odpowiada. Może mi wytłumaczysz, dlaczego miałabym być rzeczowa, co? O wiele bardziej odpowiada mi, że odpowiadam sama za siebie.

- Jak sobie chcesz.

I tak to się skończyło. Sasza odszedł. A ja z własnej winy znowu byłam singlem. Wiedziałam, że dobrze zrobiłam. Jo była ze mnie dumna. Ale ja czułam się arcypodłe.

To znaczy wcale nie jestem taka strasznie bezkompromisowa. Przy najmniej ja się za taką nie uważam. Po prostu mam parę swoich przyzwyczajeń, z których nie zamierzam rezygnować. Wyjadam nutellę prosto ze słoika. Z zasady nie czyszczę szczotki do włosów. Śpię przy otwartym oknie i podkrećcam ogrzewanie. Nie odzywam się przed dziewiątą rano. Nie przestaję mówić przed drugą w nocy. W niedzielny poranek uwielbiam mieć depresyjny nastrój. Nie oglądam francuskich filmów i nigdy nie czytam gazety „Zeit”. Zawsze za dużo wszystkiego kupuję i przechowuję resztki jedzenia w podejrzanych plastikowych pudełeczkach. Pamiętam, jak raz

przyjechała do mnie mama. W środku nocy zgłodniała, poczłapała do lodówki i obudziła mnie przeraźliwym wrzaskiem, bo niechcący otworzyła pudełeczko z resztkami kurczaka po chińsku, którego jakieś trzy tygodnie wcześniej wyczarowałam dla Big Jima.

Mam wspaniałe stare pianino, na którym kilka razy dziennie gram jeden i ten sam utwór. Potrzebuję tego dla uspokojenia. Zależy mi na tym, żeby moja brudna bielizna leżała na podłodze w łazience, a nie w przewidzianym do tego celu koszu. Bo w koszu na brudną bieliznę znalazły sobie należne miejsce mój zestaw do szycia, instrukcja obsługi magnetowidu i telewizora, stary wyciskacz do cytryny i 23 pojedyncze skarpetki, które w niewytłumaczalny sposób straciły swoich partnerów. Należę do pokolenia, które używało drzwi lodówki jako tablicy ogłoszeń. Wisiały tam poźółkłe, obryzgane sosem do spaghetti zdjęcia przyjaciół, wycinki z gazet i historyjki obrazkowe. Moja ulubiona historyjka obrazkowa, towarzysząca mi od lat i zdobiąca drzwi najróżniejszych moich lodówek, zawsze wisi na samym środku: Kobieta trzyma za rękę malutkiego facecika, a druga kobieta mówi do niej: „Jeszcze pani dokarmia piersią, czy to mąż?” Za każdym razem strasznie mnie to bawi. Jednak za każdym razem, kiedy odwiedzali mnie jacyś potencjalni kandydaci, przykrywam ją wyciętym przed laty z jakiejś gazety nagłówkiem: „Bonn zatroskane - kanclerz Kohl myśli”. Na śniadanie lubię zjeść zimne parówki ze słoika, nigdy nie rozstanę się z moim ogromnym podświetlanym bananem stojącym na szafce w kuchni, a życie bez budzika połączonego z wierzą stereo, który każdego ranka budzi mnie wyjątkowo głośno nastawionym „Throughout the Years” Kurtisa Błowa w ogóle nie wchodzi w grę.

Nie jestem specjalnie uciążliwa. Jeśli zostawi się mnie taką, jaka jestem, moja obecność nie jest kłopotliwa tylko raczej wzbogacająca.

**19:02**

O Jezu! Dzwonek do drzwi! A ja mam na nogach puchate papucie z pomponami.

- Tak? - pytam rezolutnie przez domofon, skopując jednocześnie kapcie głęboko pod szafkę w przedpokoju, rozpinając górny guzik koszuli, podciągając spódnicę i palcami zaczesując włosy za uszy. Wzruszający gest wobec aż nazbyt dobrze znanego mi faktu, że długo tam nie pozostaną.

- Tak? Słucham?

Nic. Cisza. Jakiś szum. Potem kroki na klatce. Ohhh! Już jest w środku. Znowu jakiś debil zapomniał domknąć na dole drzwi. Złożę skargę do pani Zappke. Zawsze, kiedy to akurat ja zapomnę domknąć drzwi na klatkę, ona wyłania się jak spod ziemi, żeby mnie pouczyć, zupełnie jakby przez cały dzień nic innego nie robiła, tylko czatowała przy judaszu, żeby przyłapać mnie na kolejnym wykroczeniu przeciwko regulaminowi lokatorskiemu.

Znowu dzwonek. Tym razem do drzwi. Jezu! Słyszę, jak ktoś chrząka. Boże! Mężczyzna!

Ostrożnie wyglądam przez judasza. To dziwne, ale faktem jest, że tak jak wszystkie inne kobiety, nie potrafię sobie wyobrazić, że przez judasza



naprawdę widać tylko w jedną stronę. Tymczasem zachowuję się jak tubylec, który po raz pierwszy patrzy przez lornetkę. Tak więc cofam się przestraszona, kiedy mój wzrok pada w sam środek ponurej gęby. Niechętnie otwieram drzwi.

- Cześć Rüdiger. Co się stało?

- Co ci jest? - Rüdiger gapi się na mnie, jakbym miała na twarzy maskę przeciwgazową.

- A co ma być?

- Dostałaś w nos, czy jak?

- Przestraszona obmacuję twarz. A niech to. Zapomniałam usunąć z nosa plaster Nivea do usuwania zaskórników. Stwardniał już oczywiście na kamień. Będę musiała ściągać pod letnią wodą.

- Wejdz może do kuchni, dobrze, a ja pójdę na chwilę do łazienki.

Podczas kiedy ja próbuję uwolnić nos od zaschniętego plastra, słyszę jak Rüdiger tłucze się po kuchni.

Czego on chce? Po raz pierwszy był u mnie, kiedy poczułam się zobowiązana, zaprosić jego i Marianne na urodziny. Powiedział wtedy coś lekceważącego na temat mojej kuchni z IKEI i moich gości. Wszystko tylko dlatego, że jako jedyny przyszedł w garniturze

- zresztą źle leżącym - a potem, gdy pora była już późna, Big' Jim chciał się z nim mierzyć w długości penisa.

- Weź sobie kieliszek wina! Stoi w lodówce!

Rüdiger coś tam mruczy. Wygląda to na pomruk zadowolenia.

- Marianne pyta, czy nie moglibyśmy pożyczyć od ciebie na dzisiaj składanego łóżka! Właśnie przyjechała niespodziewanie jej siostra.

Auć! Plaster wczepił się w skórę jak kleszcz.

- Jasne, jasne! Łóżko jest gdzieś na pawlaczu. Tak mi się przynajmniej wydaje. Zaraz do ciebie wyjdę.

- Nie ma sprawy.

Auuuu! Ale boli. Nie mam wprawdzie zaskórników, ale jako kobieta otwarta wypróbuję zawsze wszystkie kosmetyczne nowości. Bardzo lubię spędzać czas w perfumeriach. Do moich ulubionych sposobów spędzania wolnego czasu należy upokarzające porównywanie się z ekspedientkami w Douglasie. One zawsze wyglądają tak, jakby właśnie wybierały się na rozdanie Oskarów. Zawsze się zastanawiam, o której one muszą wstawać, żeby mieć dosyć czasu na zrobienie takiego perfekcyjnego makijażu. Pewnie zaraz po północy.

- Tobie też nalać wina?

- Tak, proszę! Zaraz wychodzę.

Kupując kosmetyki w Douglasie czuję się tak, jakbym poszła kupić bieliznę w supermarkecie, gdzie obsługiwałaby mnie Cindy Crawford. Osłabiające. Odzierające z godności. Okropne. I do tego drogie. Ostatnio jedna z tych starannie zagruntowanych, pozbawionych wieku bojowniczek

przemysłu kosmetycznego, których usta są zawsze obwiedzione ciemną konturówką, zaproponowała mi serię kosmetyków „dla cery dojrzałej”.

- Zechce pani rzucić okiem w to powiększające lustro - powiedziała słodziutkim głosikiem.

W tym miejscu pragnę ostrzec: Nigdy w życiu tego nie róbcie!!! Przyjaciółki powyżej trzydziestki, którym się wydaje, że wasza skóra nie jest jeszcze dojrzała. Nigdy nie patrzcie w powiększające lustro.

N-i-g-d-y!

Bo otworzy się przed wami otchłań.

Na miękkich nogach wróciłam wtedy do domu z dwoma drogimi jak diabli mikroskopijnymi słoiczkami z ekstraktami komórkowymi i pierwsze pół godziny spędziłam na odlepianiu folii z napisem „Reparation”. W końcu nie każdy, kto wejdzie mi do łazienki musi od razu wiedzieć wszystko na temat katastrofalnego stanu mojej przedpotopowej epidermy. Nie potrzebuję współczucia.

- No, udało się.

Z czerwonym jak burak, bolącym nosem wchodzę do kuchni, pohańbionej obecnością Rüdigera Mohra, ktoś siedział rozkraczony na moim taborecie, uśmiechając się krzywo krzywo.

Boże, teraz jeszcze ten: Mam nadzieję, że nie zamierza długo zostać. Mam ważniejsze rzeczy do zrobienia niż nudzić się z niesympatycznym mężusiem mojej sąsiadki. W końcu czekam przecież na telefon.

Ta myśl natychmiast sprawia, że siada mi nastrój. Boże, przecież już po siódmej!

Rüdiger pije potężny łyk wina. zupełnie jakby chciał dodać sobie odwagi.

- Co tam u Marianne? - pytam głupio.

- Marianne mnie nie rozumie - Rüdiger patrzy zaskoczony w swój kieliszek, potem patrzy zaskoczony w mój dekolt, który - jak nagle sobie uświadamiam - jest zbyt głęboki, jak na niespodziewaną wizytę niechcianego gościa.

- Że co? Jak to? - także próbuję wyglądać na zaskoczoną.

- W zasadzie w ogóle nikt mnie nie rozumie.

O, Boże! Tego mi jeszcze brakowało! Najnudniejsi ludzie, jakich znam, mają kryzys małżeński. Litości! Rüdiger nigdy wcześniej się do mnie nie odzywał. I nie miałam nic przeciwko.

- Znowu jest w ciąży.

- Zdejmę ci to składane łóżko z pawlacza, dobrze?

Rozpaczliwa próba zmiany tematu.

- Nie potrzebujemy twojego łóżka. To był tylko pretekst. Marianne mnie nie rozumie. Musiałem po prostu z kimś pogadać.

Boże. ale dlaczego ze mną? Dlaczego ja? Ja nie chcę! Ja cię też nie rozumiem. Rüdiger, ty głupi bucu!

Przykro mi to słyszeć.

Dlaczego zawsze muszę być taka uprzejma? Dlaczego nie powiem, co naprawdę myślę? Z tej mojej uprzejmości tyle razy już się wmanewrowałam w najbardziej nieprzyjemne sytuacje, ale po prostu nie umiem inaczej.

Pamiętam, jak raz mój kolega, Lüdger Kolberg, zapytał mnie, czy nie miałabym ochoty pójść się z nim gdzieś napić po pracy. W zasadzie powinnam mu odpowiedzieć, że już samo pytanie uważam za szczyt bezczelności. Niektórzy faceci nie umieją po prostu ocenić, gdzie ich miejsce. Są nudni, bez poczucia humoru, nieatrakcyjni i żonaci i jeszcze mnie pytają, czy pójdę się z nimi gdzieś napić po pracy. Jako kobieta zaczynam się wtedy zastanawiać, czy ja przypadkiem nie wysyłam jakichś fałszywych sygnałów.

Oczywiście nic z tych rzeczy panu Kolbergowi nie powiedziałam. Zamiast tego powiedziałam, że w zasadzie bardzo chętnie, ale niestety nie mogę, ponieważ jak dobrze wie, przyjeżdżam do pracy na rowerze, a dzisiaj jak na złość złapałam gumę. Tak więc jestem w pewnym sensie unieruchomiona. Ale innym razem, czemu nie?

I co mi z tego przyszło? Z tego dobrze pojętego kłamstwa, które miało zaspokoić zarówno moje tchórzostwo jak i ego kolegi Kolberga? Pan Ludger Kolberg zaproponował, że zapakuje mnie razem z moim sflaczałym rowerem do samochodu, zabierze gdzieś na drinka, a potem odstawi do domu. Co skończyło się na tym, że tuż przed końcem pracy musiałam się wymknąć cichcem na dół, żeby spuścić powietrze z koła, bo inaczej wyszłabym na kłamczuchę. O, nie, uprzejmość nie popłaca. Muszę nad tym popracować.

I znowu dzwonek!

- Czekasz na kogoś?

- Tak, eeeeh, nie, znaczy właściwie nie - z bijącym sercem podchodzę do drzwi. Jeśli to Daniel, to...

Na szczęście to nie Daniel.

- Czy ten dupek mój mąż jest u ciebie? - Marianne nawet nie czeka na odpowiedź, tylko natychmiast rzuca się w stronę kuchni. Zastanawiam się, czy nie uciec z mieszkania, ale w końcu zostaję. Choćby z przekory

- w końcu, to ja tu mieszkam - no i z ciekawości. Nie wykluczam bowiem, że takie bezpośrednie zetknięcie z kryzysem małżeńskim pogodzi mnie jakoś z moim żalonym stanem bycia po trzydziestce i czekania aż on zadzwoni.

Z zainteresowaniem ale powściągliwie udaję się za Marianne. Stoi w groźnej postawie przed Rüdigerem, tak że jej rozbudowana miednica całkiem zasłania mi jego twarz.

- Zgadnij, co ten baran do mnie powiedział! - wrzeszczy Marianne na wpół odwracając się w moją stronę.

- Nie mam pojęcia - mówię zastanawiając się gorączkowo, jak tu się pozbyć tej pary z mieszkania.

- Zgadnij, co ten mój zasrany małżonek mi powiedział, kiedy usłyszał, że znowu jestem w ciąży! - Marianne groźnie zbliża się w moją stronę. Wielkie nieba, sytuacja staje się uciążliwa. Nie czekając na moją odpowiedź,

Marianne wrzeszczy: - Otóż powiedział, cytuję dosłownie, słuchaj dobrze, bo cytuję dosłownie, Cora, wsłuchaj się uważnie: „Co? Znowu? Jak to się mogło stać?”.

Uważam takie pytanie za logiczne i uzasadnione, ponieważ Marianne uświadomiła mnie przecież na temat ich nad wyraz skromnego życia seksualnego, ale wolę tego nie mówić.

- On się wcale nie cieszy! - wrzeszczy Marianne i wybucha szlochem.

Spieszę oderwać z rolki papierowy ręcznik, zadowolona, że mogę zrobić coś sensownego, a potem zwracam się do Rüdigerera:

- Naprawdę w ogóle się nie cieszysz? - staram się nadać głosowi brzmienie, jakie słyszałam u mojej ostatniej terapeutki.

- No jak? Jasne, że się cieszę - mamrocze Rüdiger przewracając oczami.

- Rüdiger ma po prostu problemy z okazywaniem emocji i ich artykulowaniem - powiedziałam do Marianne.

- Pfff, pewnie i tak. Czy ty wiesz, co on powiedział? No zgadnij!

Kurde, co to ja jestem w teleturnieju, czy jak?

- Powiedział, że dwie rzeczy w życiu wyobrażał sobie jako bardziej ekscytujące. Narodziny syna i kupno obrączek. Tymczasem było to dla niego podobno nie większe przeżycie niż kupienie ciastka w cukierni.

Na szczęście tylko mnie to rozśmieszyło.

- I kto to mówi? - odzywa się z kolei Rüdiger. Zrywa się z miejsca i chodzi nerwowo z kąta w kąt.

- A nie pamiętasz, co ty powiedziałaś, zaraz jak się urodził Dennis? Specjalnie przesunąłem ważne spotkanie, żeby osobiście przeciąć pępowinę! Pamiętasz, co powiedziałaś, kiedy wziąłem w ramiona mojego nowo narodzonego, pierworodnego, oblepionego jeszcze śluzem synka? - Rüdiger poczerwieniał na twarzy jak rak, co niespecjalnie dodało mu urody.

- Chodziło mi tylko o ciebie! - biadoli Marianne.

- Powiedziałaś wtedy: Uważaj na koszulę. Uważaj na koszulę! Czy to do czegoś podobne? I może ktoś mi powie, że to właściwe wyrażanie emocji?!!

Teraz z kolei Marianne czerwienieje groźnie.

- Chcesz emocji?! No to masz swoje emocje!

Nie mam wiele cennej porcelany, ale Marianne bez pudła sięga po wazon, który mama przywiozła mi kiedyś z podróży do Chin. Z nieprawdopodobnym impetem ciska cennym naczyniem o podłogę kuchni.

Widzę tysiące cennych odłamków, widzę twarz Marianne, bladą jak kreda, widzę twarz Rüdigera, jeszcze bielszą niż kreda, i słyszę dzwonek do drzwi.



Bilans ostatnich trzydziestu minut można określić jako katastrofalny. Nie mam już swojego cennego chińskiego wazonu, ale za to muszę płacić abonament radiowo-telewizyjny.

Facet przy drzwiach podetknął mi pod nos legitymację i powiedział coś o telewizji i radiu publicznym, i że z pewnością po prostu zapomniałam zgłosić posiadanie objętego obowiązkowym abonamentem sprzętu. Mimo napiętej sytuacji, szalejącej pary małżeńskiej demolującej mi kuchnię, zareagowałam zupełnie przytomnie.

- Zupełnie nic nie zapomniałam. Nie mam żadnego objętego obowiązkowym abonamentem sprzętu. Nie mam nawet radiobudzika - spoglądałam facetowi niezłomnie w oczy. Ha! Byłam gotowa na awanturę. Nie ze mną te numery.

- W takim razie co to takiego?

- Gdzie?

Mściciel z publicznego radia i telewizji wykonał pełen wyższości gest ponad moim ramieniem w stronę dużego pokoju. Drzwi były niestety uchylone i pozwalały zobaczyć mój nowy panoramiczny telewizor Sony, w którym akurat leciała prognoza pogody na ZDF-ie. „Głęboki wyż sięgnie aż po zachodnie krańce północnej części Niemiec”.

- Eeeeehm...

- Bardzo proszę tu podpisać. Naliczymy pani abonament za ostatnie dwa lata. Chyba nie powie mi pani, że kupiła pani telewizor dopiero wczoraj?

W milczeniu pokręciłam przecząco głową zawstydzona. Czułam się bezbronna, zdana na łaskę losu w obrzydliwym męskim, rządzone przez mężczyzn świecie.

Zły człowiek sobie poszedł i jeszcze bezczelnie pogwizdywał na schodach. Za nim wyszła Marianne z Rüdigerem.

- Zrekompensuję ci straty - powiedziała cichutko Marianne i wcisnęła mi w rękę plastikową torebkę, do której zmiotła żalosne okruchy wazonu. Rüdiger nic nie powiedział. Stał tylko obok żony i z zainteresowaniem wpatrywał się we wzór na mojej podłodze.

- Jeśli to będzie dziewczynka, możecie jej dać na imię Cora, jako małe podziękowanie - próbowałam obrócić wszystko w żart.

- Nie ma potrzeby. Jesteśmy ubezpieczeni - powiedział Rüdiger do mojego parkietu. Mam wrażenie, że miał mi osobiście za złe, że przyłapałam go w chwili wybuchu emocji. Marianne też patrzyła na mnie lekko skonsternowana. Tyle się właśnie ma z uprzejmości. Człowiek udostępnia swoją kuchnię jako pole bitwy i nagle staje się wspólnym wrogiem dla zwaśnionych stron.

Jestem wyczerpana, zaraz rzucę się na swoją sofę w paski i będę rozmyślała o zmarnowanym życiu. Mogłabym też zacząć układać w porządku alfabetycznym kasety wideo.

Albo zacznę wymyślać pieszczotliwe nazwy dla męskich jąder.

Jaja marnotrawne.

Elmex i Aronal.

Flip i Flap.

Astérix i Obelix.

Lewus i Prawuś.

Wór niespodzianek.

Nie, chyba nie jestem w nastroju. Jestem nieszczęśliwa. Jestem gotowa włączyć Van Morrisona i całkowicie pograżyć się w zgryzocie. Na dworze wciąż jeszcze świeci słońce. To nie w porządku. Gwar głosów i śmiechy z włoskiej restauracji na rogu wdzierają się w moją smutną egzystencję. Oni sobie tam siedzą pod barwnymi lampionami, piją podłe białe wino, jedzą lasagne, rzucają sobie letnie spojrzenia i cieszą się na myśl o seksie.

Wszyscy, wszyscy będą się tego wieczora kochać. Tylko ja nie. Ja będę oglądać telewizję i nie podejść do telefonu, żeby moja najlepsza przyjaciółka nie zorientowała się, że ja się niekocham, tylko oglądam telewizję.

Taka jestem niezagospodarowana. To hańba.

Daniel przyjechał po mnie we środę wieczorem około wpół do ósmej. Oczywiście byłam strasznie ciekawa, jaki ma wóz. W końcu należę do pokolenia, dla którego samochód to było pierwsze miejsce, w którym można było szukać samotności we dwoje. Z dumą mogę powiedzieć, że dziewictwo straciłam w volkswagenie busie. W ten sposób zaliczam się do klasy wyższej. Większość moich koleżanek

z klasy zrobiła to co najwyżej w fiacie panda, w garbusie albo renault R4.

Daniel podjechał czarnym BMW wielkości mojej łazienki, wyposażonym w imponującą liczbę różnych przycisków.

Z seksualnego punktu widzenia nie bardzo znam się na BMW, dlatego na początek zaczęłam naciskać wszelkie możliwe guziki. Oczywiście z ciekawości, ale też dlatego, że wiem, że faceci uwielbiają jeśli kobieta traktuje ich samochód z szacunkiem i podziwem.

Samochód, wieża stereo i narządy płciowe danego faceta, to wszystko są rzeczy, o których kobieta powinna się wypowiadać wyłącznie w superlatywach.

Usadowiłam się w mojej fiołkowej mini- sukience na ergonomicznym fotelu obok kierowcy, kokieteryjnie pominęłam milczeniem komplement Daniela: „Wyglądasz oszałamiająco” i natychmiast demonstracyjnie skupiłam się na imponującym wyposażeniu BMW.

- Oh, mogę to nacisnąć? - wykrzyknęłam z dziewczęcym zachwytem w głosie, po czym mój fotel opadł do tyłu i znalazłam się w upokarzająco niskiej pozycji, z której z najwyższym trudem mogłam obserwować ruch. Daniel przywrócił mnie na odpowiednią wysokość i powiedział: „To dla osób chcących podróżować w kapeluszu. Jeśli wiesziesz współ- pasażerkę na wyścigi w Ascot, to bardzo praktyczne”.

- Aha - sukienka trochę mi się przekrzywiła. Ciekawe, co on chciał przez to powiedzieć.

Że już wielokrotnie jeździł do Ascot z zakapeluszoną dziewczyną na siedzeniu obok? A może, że lubi, kiedy kobiety noszą kapelusze? A może, że mu się nie podoba moja fryzura? Postanowiłam nie dać się zbić z tropu i nacisnęłam następny guzik. Nic się nie stało.

- A ten był do czego?

- Poczekaj chwilę.

- A tak właściwie, to co to za party, na które mnie zabierasz?

- Kolega ze studiów obchodzi czterdziestkę. Wynajął gdzieś za miastem stodołę i zaprosił dwieście osób. Pewnie głównie lekarzy. Mam nadzieję, że nie brzmi to zbyt odstraszaająco?

Brzmiało.

- Nie, w ogóle - nagle zrobiło mi się jakoś dziwnie.

- Co się dzieje? - ostrożnie wsunęłam sobie dłoń pod pupę, bo mi się tam zrobiło dziwnie ciepło. Przypomniałam sobie niejasno, jak to było, kiedy ostatni raz zsikałam się w majtki. Ale w tym momencie takie wspomnienie niezbyt mi się podobało.

- Włączyłaś podgrzewanie fotela.

- Oh, a już myślałam, że to pierwsze objawy nietrzymania moczu.

O, o. Tak mi się głupio wysnęło. Nie miałam odwagi spojrzeć, czy Daniel się uśmiecha. Postanowiłam szybko zmienić temat.

- A twoja przyjaciółka Carmen? Ona też będzie?

Było to oczywiście bardzo odważne i ofensywne. Nigdy dotąd nie rozmawialiśmy o Carmen-Ute Koszłowski. Lubię jednak wiedzieć wcześniej, co mnie czeka. I uważam, że nadszedł czas, żeby się dowiedzieć, czy ten facet za kierownicą jest już na stałe zagospodarowany.

- Carmen ma dzisiaj zdjęcia. Jeśli w ogóle przyjdzie, to bardzo późno.

Aha, zdjęcia. Z niewiadomych powodów poczułam się podle. Po prostu już tak jest, że kobiety czują się gorsze od kobiet, które przedtem mają jeszcze zdjęcia.

Postanowiłam nic na ten temat nie mówić i zamiast tego cieszyć się jazdą. W końcu, to przecież ja zostałam poproszona, żeby towarzyszyć doktorowi Danielowi na party. A jeśli Ute Koszłowski przyjdzie dopiero później, to może się to dla niej okazać za późno. W rozmarzeniu patrzyłam pożądliwie na obnażone przedramię Daniela. Męskie przedramiona działają na mnie erotycznie, zwłaszcza jeśli stanowią przedłużenie drążka zmiany biegów w BMW. Jestem wtedy po prostu jak w transie. Faceci w brązowych toyotach tracą większość ze swej seksualnej atrakcyjności.

Odchyliłam się lubieżnie na oparcie fotela, obserwowałam mijane w pędzie pola rzepaku i napawałam się otaczającą mnie muzyką Lloyda Cole'a.

Wprawdzie nie za bardzo go lubię, ale wmawiam sobie, że rozumiem przesłanie, jakie ktoś mi wysyła, puszczając Lloyda Cole'a w BMW pędzącym przez letni wieczór.

I przesłanie to bardzo mi się podoba: „Nie zawsze jeździłem BMW. Tak, tak, ja też jarałem trawkę leżąc na poplamionym futrzaku, gardząc rodzicami, elektrowniami atomowymi i Helmutem Kohlem. To raczej przypadek, że mimo wszystko na kogoś wyszedłem. I wstydzę się, że jestem zmuszony zatrudniać sprzątaczkę i głosować na FDP”.

Ooooooooooh! Ale mi dobrze! Siedzę sobie obok przystojnego lekarza ubranego w czarne dżinsy i białą koszulę, uśmiechającego się od czasu do czasu w moją stronę, wieczorne słońce świeci przez wyposażony oczywiście w szyberdach wóz, a Lloyd śpiewa:

***Are you ready to be heartbroken.***

Tak! Przełamać serce! Podarować drugiej osobie połowę! Zakochać się! Mogłabym tak jechać na koniec świata!

***You say you're so happy now. You can hardly stand.***

To prawda. Uczucie dokładnie takie samo, jak gdy się miało piętnaście lat.

***Are you ready to be heartbroken.***

Daniel położył dłoń na mojej dłoni. Uuuuh. To lepsze od większości orgazmów, jakie w ostatnim czasie przeżyłam.

Jestem nastolatką! Mogłabym teraz gulgocząc pić colę z butelki, tańczyć na stole, nosić overknees, namalować sobie muszkę na prawym policzku i uważać że nikt mi się nie oprze. Mmmh.

***Are you ready to bleed?***

- Budzimy się, budzimy! Jesteśmy na miejscu.

Silnik zamilkł równocześnie z Lloydem Cole.

- Jeśli to ma być stodoła, to nawet nie próbuję zgadywać, jak nazwaliby mój salon

- powiedziałam wsuwając Danielowi rękę pod ramię i idąc razem z nim w stronę czegoś w rodzaju drewnianego wiejskiego dworu.

- Michael jest chirurgiem plastycznym. Tam się dobrze zarabia.

Oh, chirurg plastyczny. Zrobiło mi się trochę nieprzyjemnie, bo przypominałam sobie pewne przyjęcie sprzed paru tygodni.

Siedziałam wtedy obok fryzjera i bardzo nieswojo się czułam. Cały czas miałam wrażenie, że jego fachowy wzrok z obrzydzeniem spoczywa na moich zmierzwionych włosach i tylko z najwyższym trudem powstrzymuje się przed zrobieniem mi porządnej fryzury za pomocą noża i widelca.

- To Micheal jest tym jubilatem, tak? A mamy w ogóle jakiś prezent?

- Nie martw się, dorzuciłem się do czegoś, ale prawdę mówiąc, nawet nie wiem, do czego.

No tak, tacy właśnie są mężczyźni, jeśli są męscy i nie mają żony. Mężczyźni nie mają specjalnej smykałki do prezentów, najczęściej zresztą zapominają nawet z jakiej okazji mają komuś coś podarować. Najfajniejsze



prezenty, jakie dostawały matki moich byłych przyjaciół, zawsze kupowane były z mojej inicjatywy.

Od środka rzekoma stodoła robiła jeszcze większe wrażenie niż od zewnątrz. Gigantyczna przestrzeń przyozdobiona była setkami świetlnych łańcuchów zwisających z prastarych sufitowych bali. Po prawej ustawiony był bar, po lewej kilometrowy bufet. Pomędzy nimi, wokół parkietu tanecznego, rozstawiono dziesiątki białych stolików do jedzenia na stojąco. Kiedy weszliśmy, od razu rzucił się do nas kelner i wręczył po kieliszku szampana.

- Za twoje zdrowie - powiedziałam siląc się na uwodzicielski uśmiech. - Wielkie dzięki za zaproszenie. Aha, a gdybym zapomniała potem powiedzieć: to był cudowny wieczór.

Uniosłam kieliszek i modliłam się w nadziei, że Daniel nigdy nie widział filmu *Pretty Woman*. Od kiedy ja go obejrzałam, zawsze czekałam na odpowiednią okazję, żeby powiedzieć ten tekst. Daniel uśmiechnął się mile polechtany. Ufff, tym razem miałam szczęście.

Bo kiedyś - byłam lekko podochocona alkoholem, więc można mi to wybaczyć - powiedziałam do kogoś: - Mam nosa do interesów i ciało stworzone do grzechu.

A ten ktoś odpowiedział: - Melanie Griffith do Harrisona Forda w *Pracującej dziewczynie*. Też widziałem. Doskonały film.

No tak, głupio wtedy wyszło, ale przynajmniej skończyło się ożywioną dyskusją na temat słynnych scen ze słynnych filmów.

- Za nasze zdrowie - powiedział Daniel.

- Ja z pewnością nie zapomnę tego potem powiedzieć, ale mimo wszystko powiem też teraz: dla mnie też jest to cudowny wieczór.

Wypiłam łyk szampana i uśmiechałam się zakłopotana patrząc gdzieś w dal. W takich sytuacjach strasznie trudno mi patrzeć partnerowi w oczy, zwłaszcza wtedy, kiedy mi naprawdę na nim zależy.

Żeby jakoś rozładować sytuację poszłam do toalety, poprawiłam usta i rozmyślałam o wielkiej niesprawiedliwości, że moje jak najbardziej realne poczucie własnej wartości zawsze mnie opuszcza akurat w decydujących momentach. Dlatego właśnie głównie kretyni leżą u moich stóp. Bo oni nie potrafią mnie onieśmielić. Na nich robię wrażenie humorem, ironią i ciętością języka. Naprawdę, miałam już takich wielbicieli, że do dzisiaj się wstydzę.

- W takim razie ruszajmy w tłum - powiedział Daniel, kiedy wróciłam.

W tym momencie tłum rzucił się na nas. W naszą stronę ruszyła rozkrzyczana grupa prowadzona przez ludzki piorun kulisty.

- Wspaniale, że jesteś! - wykrzyknął piorun zamykając Daniela w uścisku krótkich ramionek.

- Michael, serdecznie dziękuję za zaproszenie i wszystkiego najlepszego z okazji urodzin

- Daniel ujął moje ramię i przyciągnął mnie do siebie. - Pozwól Michael, że ci przedstawię Corę. Michael Hinz. Cora Hübsch. Tylko żebyś nie powiedział „Jak ładnie”, bo ten dowcip jej już nie bawi.

- Nie ma obawy. Cześć Cora. Serdecznie witam. Słowo „ładna” byłoby zresztą obraź- liwie niewystarczające.

- Oh, dziękuję - powiedziałam. - Doceniam komplement z tak kompetentnych ust.

- O, widzę że Daniel cię już uświadomił! Wiem, że nie wyglądam na chirurga plastycznego, tylko raczej na kogoś, kto jak najszybciej sam powinien skorzystać z jego usług! - Michael zakwiczał z uciechy.

Miły facio. Tyle autoironii. Ja też potrafię się zdobyć na autoironię. No, przynajmniej potrafiłam, zanim obecność doktora Daniela Hofmanna nie zmieniła mnie w tępego trepa.

- A co z Carmen? Przyjdzie? - spytał Michael.

- Może później. Na razie ma zdjęcia.

No tak, w ten oto sposób po raz drugi kompletnie straciłam humor. Szczerzyłam się jednak dzielnie w uśmiechu, zupełnie jakby mowa była o mojej najlepszej przyjaciółce.

- Oj, te gwiazdy filmowe - powiedział Michael wzruszając ramionami. - Mnie tam ona nie leży. O wiele za chuda, nic już się nie da odessać. Pod tym względem o wiele bardziej mi się podobasz. - Michael spojrzał na mnie przyjaźnie i tak pożądliwie, jakby oczyma duszy widział siebie szkicującego

na moim ciele przyszłe cięcia. On chyba nawet nie miał nic specjalnego na myśli, ale i tak przez cały wieczór zastanawiałam się, czy fiolet pogrubia i czy nie byłoby jednak lepiej, gdybym założyła coś czarnego.

Mimo wszystko jednak impreza była przyjemna. Zalana w trupa koleżanka Daniela z pracy zmusiła mnie do wypicia bruderszaftu, krzycząc: - My pielęgniarce musimy trzymać się razem.

Na koniec pocałowała mnie w usta.

Jak powiedział mi na ucho Daniel, Clarissę opuścił przyjaciel jakieś trzy tygodnie temu. Podobno dlatego, że ich związek stał się jego zdaniem za bardzo rutynowy. Tydzień później Clarissa zobaczyła go w parku spacerującego za rączkę z jakąś przysadzistą brunetką.

- O, to przykre - powiedziałam zdumiona.

- Rozumiem, gdyby ta nowa była przynajmniej chudą blondyną. Ale żeby odejść z powodu przysadzistej - nie, to nie pasuje do schematu i naprawdę jest krzywdzące.

Daniel spojrzał na mnie rozbawiony i pocałował mnie bez uprzedzenia.

- Ładnie smakujesz - powiedział.

- To nie ja, to *Gouloises legeres* - skorygowałam, bo właśnie niedawno paliłam. Palące nie bardzo lubią być całowane bez uprzedzenia przez niepalących. Ale przynajmniej przez ostatnie dni wystrzegałam się jedzenia czosnku. Ostrzeżeniem była dla mnie historia, jaką opowiedziała mi Jo. W jedną z ostatnich sobót zaprosił ją do kina jakiś smakowity kolega z działu

reklamy. Dzień wcześniej była na kolacji u Greka i śmierdziała czosnkiem jak sto nieszczęść. Przejechała pół miasta, żeby znaleźć jakąś czynną aptekę i strasznie jej było głupio, że musi błagać o jakiś skuteczny środek na przykry zapach z ust.

- Co ty na to, jakbyśmy się teraz stąd urwali i zrobili sobie własne party na moim tarasie?

Wydawało mi się, że słyszę lekko lubieżny ton w głosie Daniela, zwłaszcza, że szepnął mi to wprost do ucha. Kiwnęłam nonszalancko głową. W drodze powrotnej pieściliśmy się na każdym czerwonym świetle, słuchając R. Kelly'ego:

*„Baby, we both just sittin' here.*

*We need to get somewhere private,*

*just you an' me.*

*Throw your underwear on the wall.*

*Who's the greatest lover of them all?*

*Who makes your love come down like waterfalls?*

*I thought you knew. Come on Baby, let's do this”.*

Mmmh. Yes

**19:34**

Telefon!

Nie odbiorę. Nie odbiorę. To na pewno Jo i będzie się na mnie złościła. A jeśli to Daniel? A jeśli nie będzie się chciał nagrać. Muszę się zdobyć na odwagę.

- Cora Hübsch.

- Halo? Zaraz zaczynają się „Milionerzy”. Też oglądasz? Pomyślałam sobie, że zadzwonię na chwilę.

- Cześć mamó.

- Co tam u ciebie, dziecko? Czemu siedzisz w domu przy takiej pogodzie? Byliśmy dzisiaj z tatą na wspaniałej przejażdżce rowerowej. Tatę od razu chwyciło na twarzy, mówię ci. Ale sama wiesz, że jemu wystarczy z daleka zobaczyć słońce, a już jest opalony.

- Nie, bo wiesz...

- Słyszałaś już o Stefanii?

- Nie, a co?

- Twoja kuzynka urodziła wczoraj dziecko! Chłopak! I co ty na to?

- Nawet nie wiedziałam, że jest w ciąży.

- Oczywiście, że wiedziałaś, dziecko! Sama ci o tym mówiłam. Tyle tylko, że w ogóle nie interesujesz się rodziną.

- Ach, mamó, daj spokój.

- Tak, tak. Ale wszystko jedno. W każdym razie poród odbył się bez komplikacji. Maluch wyskoczył jak korek od szampana. Zupełnie inaczej niż było z tobą.

- Mmmmh - Boże, tylko nie to. Wysłuchuję tej opowieści przy każdym rodzinnym spotkaniu. Jak lekarz musiał mnie wyciągać próżniociągiem, taka byłam gruba. I że miałam mnóstwo włosów na głowie, tak że aż położna powiedziała: „No proszę, niektórzy to ledwie przyjdą na świat i od razu muszą iść do fryzjera”.

Za każdym razem, kiedy mama opowiada jak mnie rodziła, przybywa mi 10 dekagramów a bóle trwają o godzinę dłużej. Któregoś razu, kiedy już mnie to naprawdę wkurzyło, powiedziałam, żeby tak nie przesadzała, bo od zaprzyjaźnionej położnej dowiedziałam się, że urodzić dziecko to tak, jakby zrobić najgrubszą kupę w życiu. Naprawdę mi tak powiedziała i uważam, że to dość obrazowe.

Mama śmiertelnie się na mnie obraziła, milczała długą chwilę, a potem powiedziała:

- Niepotrzebnie cię tak zachęcałam, żebyś wreszcie nauczyła się mówić.

Od tego momentu powstrzymywałam się od wszelkich komentarzy.

- Stefania ma dwadzieścia osiem lat. To jej drugie dziecko - usłyszałam ton wyrzutu w jej głosie. Strasznie mnie wkurza, że wszystkie żeńskie istoty w mojej rozgałęzionej rodzinie bez przerwy wydają na świat kolejne mioty. To mnie stawia pod ścianą.

- Moja sąsiadka też właśnie zaszła znowu w ciążę - powiedziałam.

- No widzisz.

- Przed chwilą była u mnie z mężem. Strasznie się pokłócili. A ona nawet stłukła z wściekłości wazon.

- Ale chyba nie ten, który przywiozłam ci z Chin?

- Nie, nie. Inny - Boże, czy ja zawsze muszę być taka głupia? Gdybym tego nie powiedziała, mama nigdy by nie zauważyła, że nie ma jej wazonu.

- No, dziecko, muszę kończyć. Tata chce jeszcze coś zjeść. W przyszłym tygodniu byśmy do ciebie zajrzeli. Powiedz tylko, kiedy ci pasuje. To papa.

Tego mi jeszcze brakowało. Skąd ja wezmę taki sam wazon? Kiedy znajdę czas na gruntowne sprzątnięcie mieszkania? Inaczej mama spędzi połowę czasu na myciu mi szafek wodą z octem i porządkowaniu kosmetyków w łazience. A moja sprzątaczką jest w ciąży i wraca do Polski. Powieszę teraz pranie, a potem zacznę prasować. Jedno i drugie to czynności uspokajające, medytacyjne, wymagające pokory i staranności.



Czy to normalne rozmawiać z prasowaną odzieżą? Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Ale dzisiaj jest taki wieczór, kiedy wątpię w normalność moich najzwyklejszych przyzwyczajzeń.

A więc miałam okazję i odwagę dokładniej obejrzeć mieszkanie Daniela. Zwłaszcza kuchnię, kiedy otwierał wino i łazienkę, kiedy szybciotko myłam nogi w umywalce.

Z ulgą skonstatowałam w obydwu pomieszczeniach zrównoważoną mieszankę czystości i grzechu. W lodówce wypatrzyłam dwie tabliczki czekolady dla dzieci, butelkę wódki w zamrażalniku i trzy pojemniczki jogurtu. Na stole w kuchni stała miska z owocami, obok popielniczka dla gości i na szczęście nigdzie nie zauważyłam młynka do zboża.

Także łazienka odpowiadała moim wyobrażeniom o łazience obiecującego mężczyzny. Pudełko kremu Nivea a obok woda „Envy” od Gucciego. Szczoteczka do zębów, która nie wyglądała tak, jakby czyścił nią jeszcze mleczne zęby a obok znany duet past: Elmex i Aronal.

Zawsze powtarzam: dziewczyny, jeśli znajdziecie u faceta w łazience *Cool Water* Davidoffa albo Alpecin Forte albo pilniczek do paznokci w kubku do mycia zębów, to uciekajcie gdzie pieprz rośnie. To samo dotyczy czarnej satynowej pościeli, roślin doniczkowych w sypialni, ułożonych według alfabetu kaset wideo w salonie, suchych kwiatów w kuchni i tablicy do wieszania kluczy w przedpokoju.

Blask świec na tarasie na dachu. Dobrze schłodzone białe wino, ciepłe powietrze. Czy muszę cokolwiek dodawać? Wszystko było idealne. Porozmawialiśmy jeszcze przez chwilę o tamtym przyjęciu, trochę się przy tym pieszcząc, aż wreszcie - był to bardzo uroczysty i dostojny moment - pozwoliłam się zanieść do sypialni.

Tak, tak, dobrze mówię: zanieść! Czegoś takiego w moim dotychczasowym życiu miłosnym jeszcze nie było. Zawsze bezwzględnie odmawiam uczestnictwa w tej uważanej za romantyczną procedurze. Powody są chyba jasne. Ale Daniel wydał mi się dostatecznie silny, żebym mogła mu się wydać lekka.

Mogę chyba bez większej przesady powiedzieć, że nigdy w życiu nie było mi z kimś lepiej w łóżku. Z mojego doświadczenia wynika, że pierwszy raz jest tylko dlatego tak podniecający, że jest pierwszy. Urok nowości pozwala przymknąć oczy na pewne dysonanse w choreografii. Pozwalamy robić ze sobą rzeczy, które przy zdrowych zmysłach i najpóźniej przy trzecim razie skutecznie tłumimy w zarodku.

Z oczywistych i wspomnianych już wcześniej powodów nienawidzę na przykład, kiedy ktoś dogłębnie zajmuje się moimi stopami. Nie jestem też zwolenniczką języków wwiercających mi się w ucho ani pozycji seksualnych wymagających większej niż przeciętna giętkości.

Nie do przyjęcia są też faceci - Jo nazywa takich „bzykacz z kompleksem” - którzy nadal uważają, że kobieta w łóżku też jest wyemancypowana. Stara się taki dogodzić ci za wszelką cenę i nie zrobić broń

Boże czegoś niewłaściwego, zapominając przy okazji zupełnie, że stosunek płciowy to akt, który powinien służyć także ich własnej przyjemności.

Na drugim końcu skali niepożądanych kopulantów znajdują się ego-kutafony, którzy z kolei zupełnie nie interesują się duchowymi i cielesnymi potrzebami partnerki. I tuż przed wytryskiem syczą ci w ucho *Chica. Chica* to podobno po hiszpańsku i oznacza tyle co „napalona laska”. Coś takiego można wybaczyć najwyżej Hiszpanowi. I to też tylko w czasie urlopu.

Zawsze powtarzam, że najszlachetniejsza jest droga środka. I tak właśnie zachował się Daniel.

Smakowało jak... jak pierwszy łyk szampana po długiej abstynencji... jak wbiegnięcie w ubraniach do morza w pierwszy dzień wakacji... jak pójście do łóżka, kiedy człowiek pada ze zmęczenia... jak radosne przebudzenie... jak tiramisu po dobrym posiłku.

Nie będę się teraz wdawać w szczegóły. Zresztą, słowo „szczegół” w ogóle nie ma tu zastosowania.

Gdzieś około czwartej nad ranem do sypialni doktora Hofmanna ponownie zawitał spokój. Przyglądałam się śpiącemu Danielowi i w ogóle nie byłam zmęczona. Seks zawsze działa na mnie ożywczo. Zawsze potem mam ochotę coś zjeść, albo wypełnić zeznanie podatkowe, czy wyszorować ku-

chenkę. Leżąc tak żadna czynu, zastanawiałam się, jak powinnam się teraz zachować.

O zaśnięciu nie chciało mi się myśleć.

O przebudzeniu potem tym bardziej. Cieszyłam się, że nie widzę, jak wyglądam. Ale oczywiście potrafiłam to sobie dość plastycznie wyobrazić. Tusz z rzęs miałam na pewno rozmazany po całym ciele, twarz w czerwone plamy a włosy sprawiały wrażenie jakby nie miały zupełnie nic wspólnego z moją głową i zaraz chciały sobie gdzieś pójść.

Moje pragnienie, żeby nie pokazać się w tym stanie facetowi moich marzeń w bezlitosnym świetle dnia doskonale pokrywało się z moją potrzebą okazania luzu i nonszalancji. Wstałam więc po cichutku. Na poduszce położyłam karteczkę: „Słusznie przeczuwałam: to był cudowny wieczór. Dziękuję”. A potem ubrałam się i wymknęłam z mieszkania.

Oczywiście cieszyłam się jak nie wiem co, że drzwi od domu nie były zamknięte. Sasza spędził kiedyś dwie godziny na klatce schodowej, kiedy wczesnym rankiem musiał zmykać z jakiegoś obcego łóżka, zanim wypuścił go pierwszy wychodzący lokator.

Wyszłam na ulicę, nabrałam głęboko powietrza w płuca i poszłam piechotą do domu. W nowy dzień, a także - jak mi się wydawało - w nowe życie.

**20:01**

- Jo?

- O, cześć! Właśnie miałam do ciebie dzwonić. Co z tobą? Jesteś jakaś rozmemłana.

- Jo, mam tego serdecznie dosyć. Dzwonię do niego.

- Aż tak źle

- Mmmhm.

- To po co dzwonisz najpierw do mnie? Mam ci dać błogosławieństwo czy próbować odwieść od tego zamiaru?

- Sama nie wiem.

- Słuchaj. Jest tylko jeden powód, żeby w takiej sytuacji zadzwonić do faceta.

- Jaki?

- Jeśli już naprawdę nie możesz inaczej.

- Rozumiem. Zaraz do ciebie zadzwonię.

**20:03**

- Jo?

- No, co tam?

- Nie było go.
- Zostawiłaś mu wiadomość?
- Nie, no coś ty. Wtedy by wiedział, że dzwoniłam.
- Cora?
- No?
- Chyba cię pogięło.

**22:05**

Właśnie skończyłam rozmawiać z Jo. O wpół do dziewiątej po prostu wpadła do mnie bez uprzedzenia, wyłączyła mi telewizor i powiedziała: - A teraz się zabawimy, czy tego chcesz, czy nie.

Nastawiła spaghetti i odkorkowała przyniesionego szampana.

Ach, moja kochana przyjaciółka. Zawsze jej się udawało dać mi poczucie, że ze mną wszystko w porządku, że jestem OK taka, jaka jestem. Słuchałyśmy sobie piosenek Udo Jürgensa.

„Nigdy jeszcze nie byłem w Nowym Jorku, naprawdę wolny nie byłem nigdy też, ah, chociaż raz szaleństwa przeżyć chwilę, z gorsetu życia wydobyć się”.

Byłyśmy w takim nastroju, że mogłybyśmy teraz pójść do jakiegoś eleganckiego hotelowego baru, zabawiać rozmową jedenastu kandydatów

na termofory do naszych łóżek, a potem kazać tańczyć im na barze. Niestety Jo musiała jutro wcześniej iść do pracy. Ograniczyliśmy się zatem do użalania się nad tymi, którzy muszą żyć w stałych związkach i zapewniania się nawzajem, że jesteśmy za dobre jak dla facetów.

- A czego tu oczekiwać? - spytała Jo. - Jak postawisz przed piwoszem dziesięć różnych gatunków szampana, to jak myślisz, który wybierze?

- Nie mam pojęcia.

- Ten, z którego najłatwiej wyjdzie korek - Jo turlała się ze śmiechu. Ja też turlałam się ze śmiechu.

- Przecież większość ludzi tylko dlatego jest razem, że stracili nadzieję na znalezienie kogoś lepszego. Albo wspólnie przeczekują do momentu, kiedy jedno z nich znajdzie sobie kogoś lepszego.

Przytakiwałam pocieszona. Dobrze mi to robiło. Chociaż pewnie nie była to tak do końca prawda.

- A inne z kolei pary, powiedzmy sobie szczerze, Cora, są w permanentnym kryzysie. A im się wydaje, że to oznaka stabilizacji.

Zawsze bardzo mnie ciekawi roztrząsanie kwestii, jaka forma istnienia przysparza więcej problemów: kobieta związana czy niezwiązana.

- Jak już kogoś masz, to przynajmniej nie musisz już szukać - powiedziałam mądrze.

- Zakładając, że masz tego właściwego. Ale nawet z tym właściwym po paru latach robi się tak nudno, że znowu zaczynasz się rozglądać. A wtedy

znowu masz taki sam problem, jakbyś była singlem, tyle że nim już nie jesteś. A więc dochodzi ci kolejny problem.

- Ja tam jednak wolę się nudzić we dwójkę niż sama. Poza tym „nuda” to niewłaściwe słowo. Bardziej podoba mi się „zaufanie”. Zaufać komuś to cudowna sprawa.

- Eee, tam. Dochodzenie do zaufania to cudowna sprawa. Odkrywanie kogoś to cudowna sprawa, pozwalanie komuś, żeby nas odkrywał to cudowna sprawa.

- Kiedy nie ma już nic do odkrycia to też cudowna sprawa. Wtedy przynajmniej nie trzeba się obawiać nieprzyjemnych zaskoczeń. Znasz wszystkie jego drobne słabości, nie musisz już zamykać drzwi od łazienki, kiedy czyścisz zęby nitką...

- Tak, tak aż któregoś dnia idziecie razem do kibla, on siada na sedesie, a ty wyciskasz mu pryszczę na plecach. A wtedy już tylko jeden mały krok dzieli cię od chwili, kiedy zaczniesz do niego mówić „tatuśku” i kroić mu schabowego na kawałeczki, żeby mu było łatwo wkładać do ust. Cora, powtarzam ci, zaufanie jest dobre, ale samokontrola lepsza. Kiedy w którymś momencie on zacznie ci obcinać paznokcie u stóp, to to już jest początek końca.

- Nigdy w życiu bym nie pozwoliła, żeby Daniel...

- Okay, okay, może to nie najlepszy przykład jeśli

o ciebie chodzi. Przecież ty nawet zapisując się do pedikurzystki podałabyś pewnie ze wstydu fałszywe nazwisko.



- Przede wszystkim nigdy bym nie poszła do pedikurzystki. Wystarczą mi męki, jakie przeżywam u fryzjera, który za każdym razem wita mnie tymi samymi słowami: „Skarbie! Wygląda pani dzisiaj oszłamiająco!” A kiedy wychodzę stamtąd po dwóch godzinach, wyglądam przeważnie tak samo jak przedtem i nikomu nie przyjdzie do głowy, że kosztowało mnie to 60 euro.

- O, to nieprawda. Pamiętasz, jak poszłaś do Maurice’a?

- Masz na myśli ten numer z refleksami świetlnymi? To mnie kosztowało jeszcze więcej, bo 120 euro. A następnego dnia szef długo na mnie patrzył i w końcu powiedział: „Powinna go pani zaskarżyć”.

Jo znowu śmiała się jak szalona, zarzucając do tyłu swoją blond grzywę. Gdyby nie była moją najlepszą przyjaciółką, znienawidziłabym ją.

- Wiesz, Jo, co mi się tak najbardziej marzy?

- No?

- Najbardziej mi się marzy, żeby ktoś powiedział do mnie „moje kochanie” - pociągnęłam łyk szampana. Nagle zrobiłam się sentymentalna. - Czy ktoś kiedyś powiedział do ciebie „moje kochanie”?

- Nie. Wiem, co masz na myśli. Oni takich rzeczy nie mówią. Oni mówią „skarbie”, albo „myszko” albo co najwyżej „skarbeczku” czy „mysiu”. Jakoś tak już jest, że faceci nie kapują różnicy między prostotą, która ma swoją wielkość, a prostotą, która tej wielkości nie ma.

- Mmmmh.

Milczałyśmy w zamyśleniu. Czy Daniel kiedykolwiek powie do mnie „moje kochanie”? Prawdę mówiąc jeśli o niego idzie, zadowolilibym się nawet „myszką”. Poza tym na początek wystarczyłoby mi, żeby chociaż zadzwonił.

- Nie łudź się, Cora, na pewno tak nie powie. Za dużo wymagasz. Powinnaś się cieszyć, jeśli w ogóle do ciebie zadzwoni.

Razem z Jo postanowiłyśmy od razu teraz zrobić coś dla zdrowia i puściłyśmy sobie kasetę z ćwiczeniami na problemowe strefy ciała kobiety. Kasetę dostałam na trzydzieste urodziny od Big Jima i udawałam, że się cieszę. W odwecie podarowałam mu na ostatnie urodziny trzy kosmicznie drogie tabletki viagry. I on też udawał, że się bardzo cieszy.

Ale ćwiczenia do kasety nie bardzo nam sprawiały przyjemność. Może między innymi dlatego, że prowadząca je aktorka Franzi van Almsick też nie wyglądała na taką, której to sprawia przyjemność. Ona w ogóle zawsze wygląda, jakby nic nie sprawiało jej przyjemności. Wszystko przez to, że w tak młodym wieku odniosła sukces. Bardzo się cieszę, że los mi tego oszczędził.

Jo puściła płytę „Best of salsa” i tańczyłyśmy sobie salsę, wydzierając się razem z wokalistami, chociaż nie znałyśmy słowa po hiszpańsku.

***Equando semare passa, e la begra pur massa! Essa negra sankta camera equo como loko!!!***

- Musimy się tym zadowolić! - wrzasnęłam.

- Czym?

- Że niebo najczęściej pełne jest zwykłych dupków!

Jo zwinęła się ze śmiechu na kanapie, ale jednocześnie zdołała jakoś wznieść kieliszek do toastu.

- Za doktora Daniela Hofmanna! Co za duuuupek! Nawet nie ma pojęcia, co mu się wymyka z rąk! Kretino! Jeśli on cię nie chce, to znaczy że nie jest dla ciebie dostatecznie dobry.

- Dupek!

- Wór!

- Dupek!

- Wór!

- Dupek!

- Wór.

- Jo?

- Czego tam?

- Zakochałam się.

- Wiem.

**22:20**

Nie mogę uwierzyć, że nie zadzwonił. Popadłam w najgłębsze zwątpienie. Co ja zrobiłam nie tak?

Byłam luźna, byłam uwodzicielska. Oryginalna mieszanka powściągliwości i lubieżności. Zachowywałam się wzorcowo. Historia Cory H. mogłaby spokojnie znaleźć się w każdym poradniku „Jak się właściwie zachować na spotkaniu z mężczyzną swoich marzeń i odnieść sukces”. Z tą drobną różnicą, że tutaj sukcesu zabrakło. A przecież miałam wrażenie, że mu się jednak podobam.

**22:25**

Moim zdaniem ludzie dzielą się na dwie grupy: na takich, którzy zwrócą ci uwagę, jeśli masz coś między zębami i takich, którzy tego nie robią.

Nie mam pojęcia, skąd mi to nagle przyszło do głowy. Wszystko jedno.

**22:26**

Idę do łóżka. Nie zniosę dłużej obecności tej ciepłej letniej nocy. „Prześpij się z tym”

- powiedziałyby moja mama. - W nocy wszystkie koty są szare. Rano świat będzie już wyglądał zupełnie inaczej”. Obawiam się jednak, że rano świat wcale nie będzie wyglądał zupełnie inaczej. Dobranoc.

**22:30**

Rozmyśliłam się. Wcale nie jestem zmęczona. Stoję w koszuli nocnej na balkonie i smutno patrzę na moją choinkę. Nie mogę dłużej trzymać w domu tego pomnika mego ostatniego nieudanego związku. Natychmiast się go pozbędę. Do parku jest całkiem niedaleko a odrobina świeżego powietrza mi nie zaszkodzi.

**23:05**

Jestem najgłupszą i najbardziej nieatrakcyjną krową, najbeznadziejniejszą idiotką, jaką kiedykolwiek znałam. Do takiego wniosku doszłam w ciągu ostatnich trzydziestu minut, wszystko dzięki mojej wyschniętej choince. A oto co się stało:

Jak każdego roku późnym latem albo wczesną jesienią, ostrożnie spuściłam choinkę z mojego balkonu na pierwszym piętrze na chodnik. Szybko zmieniłam koszulę nocną na kiedyś niebieską, a teraz bladoszarą spraną letnią sukienkę i zbiegłam do drzewka. Na bosaka zresztą. Uważam, że jak w letnią noc idzie się bosą ulicą, ciągnąc za sobą uschnięte bożonarodzeniowe drzewko, to ma to w sobie coś specyficznego. Takiego wyjątkowego. Niektórzy mogą sobie pomyśleć, że wyjątkowo wariackiego. Ale

nie jestem pewna. Ja w każdym razie uważam to za wyjątkowo interesujące i ekscentryczne.

### *Nagie stopy na nagim asfalcie.*

To mógłby być tytuł jakiegoś trzyczęściowego serialu na RTL. Bohaterką byłaby na przykład piękność o płonących oczach, która rusza w dżunglę nieznanego miasta na poszukiwanie ojca porwanego przez bandytów, którzy próbują wydrzeć mu tajemnicę, gdzie ukrył mikrofilmy otrzymane na łożu śmierci od żony, tajnej agentki prowadzącej dla kamuflażu zwykle mieszczańskie życie.

Jak już nic mi się nie będzie wiodło, to zawsze mogę zacząć pisać scenariusze.

Dumnie i ekscentrycznie ciągnęłam za sobą choinkę, zostawiając wyraźny ślad z osypujących się igieł. W drodze do parku nie spotkałam żywej duszy. Ale i tak było mi wszystko jedno. Dokonałam rozrachunku z własnym życiem. Niech się ze mnie wyśmiewają, niech sobie szydzą. Przyszło mi znieść znacznie gorsze rzeczy.

O tym, że zawsze jednak może być gorzej, przekonałam się skręciwszy w wąską, słabo oświetloną dróżkę do parku, która odchodziła od ulicy, a potem biegła przez mały jodłowy zagajnik, gdzie zamierzałam dyskretnie pochować moje wyłysiałe drzewko wśród jego sióstr i braci.

Z biegiem czasu zrobiło się tam prawdziwe cmentarzysko wysłużonych choinek. Bo mieszkam w tej okolicy od jakichś dziesięciu lat.

Maszerowałam sobie właśnie niezbyt przyjazną ścieżką, kiedy nagle z naprzeciwka nadeszła jakaś para. Trzymali się pod rękę, rozmawiali cicho, wszystko jak trzeba. Aby oszczędzić sobie ich widoku, a im mojego, podniosłam drzewko w górę, tak że jego nędzny, goły szpic zakrywał mi trochę twarz. Też bym wolała trzymać się faceta zamiast drzewka. Ale jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma. Trzeba sobie jakoś radzić. Z wzrokiem wbitym w ziemię człapałam dalej, już prawie tych dwoje minęłam, kiedy nagle usłyszałam głos, który trafił mnie jak grom:

- Cora?!

Wyjrzałam zza drzewka. I zdębiałam. Gdzież ta otchłań pod moimi stopami, żeby litościwie przyjąć mnie do swego łona? Wystarczy sobie jeszcze raz przypomnieć mój wygląd: stoję nocą, boso, przyodziana w mamą sukienkę w parku i trzymam w prawej ręce szkielet bożonarodzeniowego drzewka, z którego zwisają jeszcze resztki lamety i które niezbyt dokładnie zasłania moją czerwoną ze wstydu twarz. Zrobiłam zatem jedyną rzecz, jaką w tej sytuacji można zrobić. Mianowicie udałam, że nic się nie stało.

- O, cześć Daniel! Co tam u ciebie? - zdołałam nawet uśmiechnąć się przez zaciśnięte usta do Ute Koszłowski. A ona gapiała się na mnie zupełnie tak, jakby zobaczyła kobietę, która w samym środku lata trzyma pod pachą choinkę.

- Eeh, dzięki, w porządku. - Daniel pośpiesznie zdjął rękę z odstręczające bladego ramienia Ute.

Tylko nie dać po sobie nic poznać! Muszę być cool! Nie świrować. Zanim któreś z nich zdołało coś z siebie wydusić, kiwnęłam przyjaźnie głową.

- No to na razie. Miłego wieczoru! - zawołałam radośnie i ruszyłam w dalszą drogę tak godnie, jak tylko było mnie w tych warunkach stać.

Zdołałam jeszcze dociągnąć drzewko na miejsce pochówku (czy może to ono mnie ciągnęło?) i tam zostawić. Potem usiadłam na jakimś pieńku, gapiłam się tępo na swoje stopy i o niczym nie myślałam.

Czy to się zdarzyło naprawdę? Ute Koszłowski objęta ramieniem mężczyzny, na którego telefon czekam daremnie od wielu godzin? To ja depiluję sobie nogi, maltretuję najlepszą przyjaciółkę zakochanym bełkotem, błagam telefon żeby zadzwonił, a tymczasem doktor Daniel Hoffman spaceruje sobie w ciepłą letnią noc obejmując ramieniem chudą jak szczapa, trzeciego sortu gwiazdkę opery mydlanej.

Miałam jeszcze na tyle przytomności umysłu, żeby przyłożyć sobie pod oczy rąbek sukienki, bo inaczej tusz całkiem by mi się rozmazał, kiedy zaczęłam ryczeć.

Zerwałam się z miejsca, i w czasie piętnastominutowego snucia się po parku przeżyłam wszystkie cztery klasyczne fazy rozstania:

1. ***Faza niedowierzania***



To wszystko na pewno da się jakoś łatwo wyjaśnić. Daniel chciał się pewnie dzisiaj rozstać z Ute Koszłowski, żeby jutro, jako wolny już od uciążliwej przeszłości człowiek, poprosić mnie o zostanie jego żoną.

I nie ma zupełnie znaczenia, że o tak późnej porze obejmował ją ramieniem, chociaż wszystko między nimi było już skończone. To w końcu gest pocieszenia, współczucia, dawnej zażyłości. Spokojnie mogę iść spać.

## 2. *Faza wzbierającej wściekłości*

Co za podłość! Dupek! Wór! Jakie to typowe, jakie nieprawdopodobnie typowe, tchórzliwe, niegodne i męskie. Najpierw nic mi nie mówi o charakterze swojego związku z Ute Koszłowski, chowa się po kątach, raz się ze mną bzyka - cel osiągnięty - a potem spokojnie wraca do wygrzanego łóżka.

Kiedy ja będę się nad imionami dla naszych nienarodzonych dzieci, zastanawiam się czy będziemy je chrzcili, czy nie, ten świniak dawno mnie już odfajkował i odłożył mnie ad acta z nadrukiem „oryginalna przygoda łóżkowa z przysadzistą brunetką”.

I jeszcze w dodatku zostałam wykorzystana, żeby jakiś mamy lekarzyna miał swoją krótkotrwałą przygodę. Poczul się moim kosztem panem życia.

Porysuję mu tę jego beemwicę żyłkami i przykleję silikonem do tylnej szyby jakieś idiotyczne nalepki w rodzaju „Proszę nie trąbić, kierowca przewraca się na drugi bok”, albo „Obsługuję także panów”. Przez trzy miesiące będę mu wysyłała kurierem do domu pięknie zapakowane paczki ze zgniłymi winogronami pełnymi much owocówek. Nadam w jego imieniu

ogłoszenie z numerem telefonu: „Wrażliwy, wiemy lekarz szuka odpowiedniej kobiety. Wygląd obojętny. Zgłoszenia proszę kierować na adres...”.

Zemszczę się, doktorze Danielu Kutafonie Hofmann. Zachciało ci się krótkiego szalonego numerka? Ten numer będzie dzikszy i wcale nie taki krótki, jak byś sobie życzył. Widziałeś może „Fatalne zauroczenie” z Glenn Close? Biada twojemu królikowi, jeśli kiedykolwiek jakiegoś miałeś!

### **3. *Faza przeżywania bólu***

Nikt mnie nie kocha. Jak ja w ogóle mogłam sobie wyobrazić, że ten świetnie zbudowany, inteligentny, piękny, błyskotliwy, doskonale sytuowany mężczyzna może mieć wobec mnie poważne zamiary? Wobec mnie! To przecież śmieszne. Ja jestem przecież kobietą, z którą można tylko zdradzić. O której opowiada się potem w rozbawionym męskim gronie słowami: „A wiecie, miałem raz jedną taką całkiem porąbaną, co to...”

Nikt nie chce ze mną być. Zawsze odchodzą. Nawet Sasza. Wprawdzie było odwrotnie, ale w takiej sytuacji szczegóły nie grają roli. Tak się przynajmniej człowiekowi zdaje. U szczytu dojrzałości płciowej, w wieku, w którym miałam już nadzieję na przeżycie pierwszego orgazmu pochwowego, nadszedł kres mojego życia miłosnego.

Skończyło się. Koniec. Kropka.

### **4. *Faza reorientacji pozytywnej***

Tę fazę przeskoczyłam i zaczęłam wszystko od początku.

Poszłam do domu. Próbowałam znaleźć coś pozytywnego w całej tej sprawie. Próbowałam daremnie. Przeszłam obok włoskiej restauracji na rogu, gdzie nadal siedzieli w ogródku ludzie, rozmawiali, śmiali się, kompletnie nieporuszeni moim tragicznym losem. Było w tym coś pocieszającego. Świat - pomyślałam sobie - ma w nosie moje samopoczucie. Nie interesuje go, że resztę życia spędzę w świadomości, że jakaś inna capnęła mojego faceta. Rzuciłam się na kanapę i gardziłam sobą za to, że zjadłam jeden po drugim cztery Mini-Dickmanny. Żeby chociaż ta rozpacz rzuciła mi się na żołądek. A tu nawet to nie. Tracę apetyt tylko wówczas, kiedy za dużo zjem. A mówiąc za dużo, mam na myśli dużo za dużo.

**23:15**

Cholera. Nie mam papierosów.

**23:16**

Rzucam palenie. Teraz. Muszę nadać nowy sens mojemu życiu. Od zaraz jestem niepaląca.

**23:17**

Wyskoczę na moment po papierosy.

**23:18**

Ze spuszczoną głową wymykam się na ulicę. Do niczego się nie nadaję. Nawet nie umiem rzucić palenia. Nic dziwnego, że nikt mnie nie chce. Mijam dom Marianne, w jej mieszkaniu już nie pali się światło, przechodzę obok postoju taksówek, przy którym nigdy nie ma żadnej taksówki.

- Cześć Cora.

Co? Kto to powiedział? Podnoszę wzrok i nawet nie umiem się zdobyć na uśmiech. Jakiż to straszliwy los się dzisiaj na mnie zawziął? Czy te upokorzenia nigdy się już nie skończą?

- Cześć Ute.

Ute Koszłowski spogląda na mnie z lekkim obrzydzeniem.

- Większość nazywa mnie Carmen.

- Wszystko mi jedno. Nie jestem większość.

Czuję się jak biblijny Hiob. Jedna plaga za drugą.

Czym sobie na to zasłużyłam? Za jakie to grzechy aż taka kara? Na pewno zaraz rzuci się na mnie chmara szarańczy a moją twarz pokryją zielone dzioby ospy. Z pewnością właśnie teraz ktoś włamuje się do mojego mieszkania. Nie, dzisiaj naprawdę nie jest mój dzień. Ute afektowanym gestem odsunęła z twarzy rudy kosmyk i powiedziała:

- Czekam tutaj na taksówkę i nic.

- Aha.

- Daniel poszedł już do domu. Właściwie chciałam iść na piechotę, ale w końcu się rozmyśliłam.

- Aha.

- Strasznie mu zawróciłaś w głowie.

- Słucham? - Gapię się na nią wzrokiem będącym mieszaniną niezrozumienia i wrogości. Co to wszystko ma znaczyć? Czyżby wiedziała o naszym... eee... spotkaniu? Czyżby chciała się jeszcze bardziej napawać moją klęską?

- Wiesz, w zasadzie powinno mi to być obojętne, w końcu nie moja sprawa i nie powinnam się mieszać. Ale skoro się już tutaj spotkałyśmy... Może pójdziemy się gdzieś czegoś napić?

Zastanawiam się przez chwilę. Szorstkie „nie” byłoby chyba jak najbardziej na miejscu.

- Jak sobie chcesz - mruczę niechętnie.

W końcu, co ja mam więcej do stracenia?

W końcu i tak straciłam wszystko.

Idziemy parę kroków do włoskiej knajpy na roku, siadamy przy wolnym stoliku i zamawiamy pół litra firmowego wina. Kelnerowi o mało oczy nie wyszły z orbit na widok mojej rudowłosej, wiotkiej towarzyski.

- I wodę mineralną - rzucam. Równie dobrze mogłabym się zwrócić do głuchoniemego aborygena.

- I jeszcze dwa razy mineralną - świergoce Ute- Carmen.

- ***Due aqua minerale!*** Coś jeszcze dla ***bella signorina?***

Czyżbym nie zdając sobie z tego sprawy zamieniła się w garbatego starca, czy jak? Zresztą, wszystko mi jedno. Kompletny brak poczucia własnej wartości pozwala znieczulić się na wszelkie poniżenia ze strony personelu.

- Daniel dużo mi o tobie opowiadał - zaczyna Ute.

- Tak? A co takiego?

- No, wiesz, moment waszego poznania widziałam osobiście. Przepraszam, że tak cię wtedy objechałam, ale myślałam, że naprawdę zrobiłaś mu krzywdę. Poza tym dla aktorki to zawsze bardzo ważne wmieszać się bohatercko w taką sytuację i narobić dużo szumu, kiedy naokoło jest tylu fotografów. Chyba sama rozumiesz?

Ponieważ nie rozumiem, wolę zachować wieloznaczne milczenie.

- Ten numer, który mu wycięłaś w gabinecie, zrobił na nim wrażenie. Był tobą naprawdę zachwycony. W tej sytuacji, wybacz moją otwartość, uważam to za obrzydliwe, jak z nim postąpiłaś.

Jak ja co? Jak ja z nim co? No nie, to już zakrawa na...! Jezu! Czy ja śnię, czy co? Pociągnęłam łyk wody

- obie szklanki oraz talerz z przystawkami na koszt firmy kelner postawił przed Ute-Carmen.

- Jak ja z nim postąpiłam?! Czy ty masz nie po kolei w głowie? To ja od paru godzin siedzę jak ta głupia przy telefonie, czekając, że może do mnie zadzwoni, a potem spotykam go w parku obejmującego cię ramieniem, podczas gdy ja z rozpaczyny wynoszę do parku choinkę i ty śmiesz mówić, że to ja z nim obrzydliwie postępuję? Dałabyś z tym lepiej spokój. Życzę wam obojgu wszystkiego najlepszego, ale nie sądzę, żebym musiała akurat od ciebie znosić jakieś pouczenia na temat błędów w moim postępowaniu.

Ufff. Wygarnęłam jej, co chciałam. Chyba nigdy w życiu wobec nikogo nie byłam taka szczera. To wcale fajne uczucie. Bo kiedy się jest szczerym, to człowiek nie musi się bać, że zostanie na czymś przyłapany. To tak, jakby się nie wciągało brzucha. Zupełnie nowe dla mnie doświadczenie. I całkiem przyjemne.

- No tak. Powoli zaczynam rozumieć.

To pewnie z kolei całkiem nowe doświadczenie dla niej. Fajnie - to znaczy że obie poszerzyłyśmy sobie tego wieczora horyzonty.

- Jesteś w nim zakochana, zgadza się?

„Kurwa, zgadza się” - pomyślałam.

- Kurwa, zgadza się - powiedziałam.

- Słuchaj, to że jestem lesbijką, wcale nie znaczy, że nie rozumiem kobiet.

- Jesteś lesbijką? - wołam nie posiadając się ze zdumienia.

- Psst, nie tak głośno.

- Jesteś lesbijką - szepczę nie posiadając się z zachwytu.

- No wiesz, w moim zawodzie nie należy się z tym za bardzo obnosić. W końcu widzowie muszą wierzyć, że co najmniej raz w tygodniu zakochuje się we mnie silnie owłosiony doktor. Daniel jest moim przyjacielem, od kiedy trafnie zdiagnozował u mnie podrażnienie wyrostka robaczkowego. Od tamtej pory chodzimy czasem razem na oficjalne uroczystości, żeby ludzie nie zaczęli się za bardzo zastanawiać na temat moich preferencji seksualnych.

- No dobrze, ale w takim razie... - Wszystko, mój obraz świata, obraz mojego wroga, wszystko to legło w gruzach. Nie lubię, kiedy ktoś bez ostrzeżenia pozbawia mnie wszystkich moich uprzedzeń.

- No właśnie, dlaczego w takim razie on ci nic nie powiedział?

Kiwam głową dając wyraz swojemu zdziwieniu.

- A dlaczego ty zakładasz wonderbra kiedy idziesz na spotkanie z nim? Dlaczego udajesz, jakby ci na nim nie zależało, chociaż jesteś w nim po uszy



zakochana? Dlaczego nie dzwonisz do niego po dziesięć razy dziennie, kiedy masz na to ochotę? Tak doskonale zagrałaś swoją rolę luzaczki, że Daniel zupełnie nie wiedział, co myśleć. On też chciał ci się wydawać cool, dlatego nic ci o nas nie powiedział. Od razu mu powiedziałam, żeby się nie wygłupiał, bo takie rzeczy zawsze prowadzą do niepotrzebnych nieporozumień, ale kiedy po pierwszej wspólnie spędzonej nocy tak po prostu się ulotniłaś - wygrałaś na całej linii. Przekonałaś go definitywnie, że nie traktujesz tego poważnie. Boże, żebyś ty wiedziała, jaki ten facet jest nieszczęśliwy!

Milczę. I milczę. Potem zaczynam histerycznie chichotać. Potem zaczynam beczeć. A potem wszystko się ze mnie wylewa:

Jezujakazemniegłupiageś! Atynaprawdejesteślesbijką? Toprzecież, no, toprzecież, a ja chciałam tylko, żeby zobaczył, że jestem taka cool i wogóle, Bożejakajajemgłupia,naprawdemyślisz, żeon... ?!

Ute-Carmen bierze mnie za rękę i w tym momencie spokojnie mogłabym się w niej zakochać. Jeśli już tego nie zrobiłam. Ach, byłam kompletnie skołowana.

I szczęśliwa. I zawstydzona.

- Kiedy poznałam moją obecną przyjaciółkę, było zupełnie tak samo.

- Masz przyjaciółkę? - Chyba byłam nawet trochę zawiedziona.

- Tak, od czterech lat. Spotkałam ją na castingu do jakiejś głupkowatej roli nocnej pielęgniarki. Ona jest operatorem. Jak tylko ją zobaczyłam, odebrało mi mowę. Oczywiście nie dostałam tej roli. A po castingu była

mała popijawa, grzecznie i miło gadałam ze wszystkimi poza nią. Tylko ją traktowałam jak powietrze, albo jakby miała jakąś zaraźliwą chorobę.

- Mmmh - kiwam głową ze zrozumieniem.

- Pod koniec wieczoru - dostałam już co najmniej dziesięć numerów telefonów od różnych wielbicieli i wielbicielek, którzy gównie mnie obchodzili - ona sama do mnie podeszła.

- I co?

- Spytała, czy nie jesteśmy trochę za stare na taką dziecinadę. Ona ma dosyć takich gierek, więc jeśli mi się spodobała, to powinnam jej to łaskawie okazać. W końcu nie jest terapeutką i nudzi ją ciągła konieczność interpretowania zachowań innych ludzi. Od tego momentu zostałyśmy parą.

- I jesteście szczęśliwe?

- Tak. Jesteśmy szczęśliwe. Raz na tydzień noszę się z myślą o rozstaniu, bo nie znoszę, że ona nie wrzuca bielizny do kosza na pranie. Ona mnie uważa za powierzchowną pinde z telewizyjnych seriali, owładniętą manią kontrolowania innych i zmusza mnie o drugiej w nocy do zasadniczych dyskusji na temat pozycji kobiet o orientacji lesbijskiej w społeczeństwie Zachodu. Jesteśmy szczęśliwe. Mimo to. A może właśnie dlatego. Nie mam pojęcia. Nie chcę innej.

Jestem tak wzruszona, że niestety znowu zaczynam beczeć. Ute wypija swój kieliszek i rezolutnym gestem odstawia go na stół, machając na kelnera, który w ciągu nanosekundy staje przy niej obiecując najbardziej unizowanym głosem, że przyniesie rachunek. Hi, hi, hi! Daremne wysiłki, koleś!

Nie mogę pohamować uśmiešku. Ute lesbijką. Jest jednak na świecie sprawiedliwość.

- Okay. Teraz już wiesz, co masz zrobić?

- Tak, wiem - mówię szlochając i śmiejąc się na przemian.

**23:58**

Nie, nie będę przedtem ćwiczyć głosu. Nie puszczę Lloyda Cole'a. Nie zapiszę sobie na karteczce, co mam powiedzieć. W końcu nie jesteśmy w przedszkolu. Naprawdę jestem już za stara na takie gierki.

Palce trochę mi drżą. Nic dziwnego. Ile to czasu minęło, od kiedy po raz ostatni dzwoniłam do faceta? W takiej sytuacji. Łamię wszelkie zasady podawane w poradnikach. Cora Hübsch rewolucjonistką! Cora Hübsch łamię wszelkie tabu! Cora Hübsch stała się dorosła!

A może puścić w tle wiadomości o północy? A może jakąś klasykę? Chopin? *Sceny dziecięce* Schumanna? Nie, nie. Dostyc tego!

Będę tylko i wyłącznie sobą.

A jaka ja właściwie jestem?

Już ja coś wymyślę.

**00:01**

- Hofmann.

- Cześć Daniel. Mówi Cora.

- ... no nareszcie, Cora, moje kochanie.

Na razie koniec.

TLR